

# BLUSZCZ

*Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Hobbicy*

ROK LXI

WARSZAWA, DNIA 27 PAŹDZIERNIKA 1928 ROKU

NR 44

TREŚĆ NUMERU: Polska musi mieć czynny bilans handlowy—*Natalja Jastrzębska*. Wieś i... cały kraj—*Z. Zaleska*. Ciemne moce — *M. H. Szpyrkówna*. Poezje: „Modlitwa”. „Modlitwa za szalonych” — *Felicja Kruszevska*. Niepotrzebne wzruszenie (nowela) dok. — *Herminja Naglerowa*. Czujny stróż (dok.)—*Z. Reutt-Witkowska*. Ś. p. Stanisław Noakowski—*Z. K.* Sztuka Rokoka (c. d.) — *Wacław Husarski*. Z teatrów —*H. N.* Nasza Mównica. Saffa—*M. P.* Ludzie źle wychowani — *J. S.* Budżet toaletowy — *Well*. Drobne ułatwienia w gospodarstwie domowym — *Pani Elżbieta*. Gruszki — *Pani Elżbieta*. Korespondencje. Dodatek „Mody i roboty”: Modne tkaniny — *Well*. Kolorowa stora, wykonana szydełkiem. Dodatek powieściowy: „Oblubieńcy” — *M. Benisławska*. Arkusz wzorów.

## POLSKA MUSI MIEĆ CZYNNY BILANS HANDLOWY

Na tle wielkiego rozwoju życia gospodarczego, który po przejściu pierwszych czasów powojennych rozpoczął się w Polsce, a wzmógł bardzo intensywnie w ostatnich latach, zaznacza się, niestety, jeden fakt ujemny:—nasz bilans handlowy, wykazujący ogromny przerost przywozu nad wywozem.

Zjawisko to nie stanowi bynajmniej dowodu niedolności naszej polityki skarbowej i handlowej, lub braku sił potencjalnych naszego krajowego gospodarstwa. Do pewnego stopnia jest ono nawet spowodowane właśnie intensywnym rozwojem pewnych gałęzi gospodarki. Rozwija się ruch budowlany, dziesiątki inwestycji miejskich, powstają fabryki, tworzące swoim istnieniem zwiększone zapotrzebowanie surowców zagranicznych i t. p.; wszystko to są rzeczy, zwiększające przywóz zagraniczny. Z drugiej zaś strony, dla uniknięcia drożyzny, nie można dopuścić do eksportu pewnych produktów, których nadmiaru Polska nie posiada. Produkcja zaś krajowa fabryczna nie jest jeszcze w całości tak rozwinięta, aby móc zarzucić rynki zagraniczne naszymi wyrobami i konkurować tam z wytwórczością innych krajów, o wyższej kulturze przemysłowej. Posiadamy wprawdzie bogate surowce, jak węgiel, sól, cement, ale i tu politykę wywozową budować trzeba latami, zachodzą bowiem najrozmaitsze szkopyły, jak choćby konkurencja Anglii w eksporcie węglowym, niewystarczająca ilość statków, o którą rozbija się wywóz na większą skalę, np. cementu, którego jest duże zapotrzebowa-

nie w Ameryce południowej. Wszystko to, abstrahując jeszcze od całego kompleksu zagadnień dyplomatycznych, traktatów handlowych z różnymi państwami, które niejednokrotnie narzucają nam import — składa się na to, że nasz bilans handlowy jest ujemny, to znaczy, że przywozimy więcej, niż eksportujemy.

W imporcie tym są rzeczy, których wyrzec się niema sposobu. Każdy rozumie, że np. bawełna nie urodzi się w Polsce i że sprowadzać ją musimy, ale właśnie cała polityka handlowa polega na tem, aby ograniczyć przywóz do tych surowców lub wyrobów, których w kraju nie posiadamy.

Czy tak jest w Polsce? Czy rzeczywiście przywozimy tylko to, czego nie można wyprodukować w kraju i co jest koniecznie potrzebne?

Niestety, nie!

Jesteśmy poprostu zalani wyrobami zagranicznymi, którym równe, a nieraz lepsze, posiadamy u siebie.

Materiały wełniane, bawełniane i lniane, jedwabie, odzież, galanterja, kosmetyki i perfumy, nawet... obuwie. Podczas gdy przed wojną obuwie nasze wywoziliśmy masowo, a i obecnie jest ono o wiele tańsze, trwalsze i równie eleganckie, jak zagraniczne.

Najwyższą pozycją w imporcie są materiały i wyroby włókiennicze, których przywóz wzrósł zatrważająco w pierwszej połowie roku bieżącego. Sprowadziliśmy ich do dnia 1 sierpnia za 130 milionów złotych, podczas gdy w roku zeszłym cały przywóz tych materiałów zamknięto sumą 156 milionów za cały rok



Mniejszą, lecz również bardzo poważną sumę zapłaciliśmy za jedwabie—33 miliony, 10 milionów za perfumy i kosmetyki i t. p.

A tymczasem wszystkie te materiały wyrabiane są u nas. Mamy całe miasta fabryk włókienniczych, jak Łódź, Bielsk, Częstochowa, Białystok; jedną z największych w Europie wytwórnę sztucznego jedwabiu w Tomaszowie; fabryki juty, przemysł koronkarski, koce białostockie, niewyzyskany, a mogący stać się złotą żyłą, przemysł kilimkarski i wiele innych.

Pomyśleć, że gdybyśmy zadowolnili się własną produkcją w zakresie jednych tylko materiałów włókienniczych, około 200 milionów złotych rocznie poszłoby na stronę czynną naszego bilansu!

A sprawę tę przeprowadzić może jedynie i wyłącznie społeczeństwo. Rząd wielokrotnie skrępowany jest w tym zakresie, jak już wyżej zaznaczono, względami natury dyplomatycznej, wzajemnością wymiany. Zabraniając przywozu jakichkolwiek wytworów, naraża się na odwet ze strony danego państwa; nie może zrywać ratyfikowanych już traktatów, nie mówiąc o tem, że protekcjonizm celny i importowy uległ obecnie bardzo poważnym zmianom i nie jest ogólnie stosowany w takiej mierze, jak niegdyś.

Spółeczeństwo samo więc popierać musi wyroby krajowe i od niego zależy aktywność bilansu handlowego.

Największą zaś w tem rolę odgrywają kobiety.

Sprawa jest bardzo prosta. Każdy fabrykant sprowadzać musi surowce, bez których się nie obejdzie; ale nie będzie sprowadzał ani pończoch jedwabnych, ani kosmetyków, ani bielizny, czy obuwia. Kupiec zaś sprowadzi je tylko o tyle, o ile żąda tego jego klientela.

Większością zaś tej klienteli są kobiety.

One, bowiem, kupują przeważnie nie tylko przedmioty, potrzebne im osobiście, lecz wszystko to, co dotyczy ubrania dzieci, urządzenia domu, gospodarstwa, a nierzadko artykuły i drobiazgi konfekcji męskiej, zwłaszcza bieliznę.

Zrozumiano to dobrze w Anglii. Wielkie dzienniki angielskie otworzyły specjalne rubryki kobiece i stanęły przeważnie po stronie akcji rozszerzenia praw wyborczych kobiet, gdyż stwierdzono, że ogłoszenia firm handlowych w dziennikach przynoszą tym firmom korzyść wtedy tylko, gdy dane dzienniki są czytane przez kobiety.

Przypada nam tu więc bardzo poważna rola, a w dodatku wdzięczna i łatwa. Nie potrzeba do niej żadnych specjalnych wysiłków, pracy i czasu. Nie potrzeba być działaczką społeczną, aby kupować tylko wytwory krajowe. Każda kobieta, bez względu na wykształcenie, środowisko i środki materialne, może wziąć w akcji tej udział. Może być użyteczna jedynie samym faktem wybrania towaru krajowego!

Jest to właściwie tylko kwestją ciągłej, na każdym kroku pamięci o tem, bo dziś niema już żadnej wątpliwości, że towary i wyroby nasze stoją na tym samym poziomie, co zagraniczne. Wytworność wyrobów bieliznianych, gust materiałów, rękawiczki i pantofelki—wszystko stoi na tym samym poziomie. Nieodścignione dawniej zdawały się wzory galanterji męskiej angielskiej; tymczasem obecnie miałam właśnie sposobność oglądania w jednym z wielkich magazynów wyrobów krajowych i stwierdziłam, że pończochy, krawaty, szale i inne drobiazgi naszej produkcji mają tę samą wytworność barwy i deseni, co angielskie. Właściciel magazynu opowiedział mi szczegółowo, ile wysiłków włożono w udoskonalenie tej gałęzi produkcji w ostatnich latach. A przecież to dopiero początek! Chemja barwnicza rozwija się tak wspaniale, że za kilka lat będziemy mieli lepsze farby od angielskich; gustu zaś napewno nam nie zabraknie.

Tak samo ze sprawą kosmetyków, mydeł i perfum. Udoskonalenie ich produkcji postępuje bardzo szybkimi krokami. A tymczasem spotykamy się z takimi faktami, jak polecenie przez szereg sklepów zagranicznej pasty do zębów „Gibbs“—jest to wprost oburzające, gdyż wymieniona pasta jest znacznie droższa, a o wiele gorsza od krajowej! Czyja to wina?

Jedynie i wyłącznie klienteli, która bezwzględnie kupować tych rzeczy nie powinna.

Jeżeli na każdym kroku będziemy pamiętać o kupowaniu naszych wyrobów i żądać ich wszędzie—sklepy nasze nie będą sprowadzały wyrobów zagranicznych; jeżeli zaś nawet którykolwiek z naszych wyrobów nie stoi na pożądanym poziomie, to należy zadać sobie tyle fatygi, aby skierować do właściwej wytwórni swoje zarzuty i dezyderaty: napewno każda fabryka uwzględni je w swoim własnym interesie, a uwzględni tem łatwiej, o ile jej wskażemy, czego żądamy i co jest potrzebne.

Sprawa czynnego bilansu handlowego, zależnego w tak znacznej mierze od społeczeństwa, zaczyna zresztą budzić sumienie społeczne i obecnie weszła w fazę realizacji pod postacią zalegalizowanej w ostatnich dniach Ligi samowystarczalności gospodarczej. Zainicjowane przez młodzież akademicką stowarzyszenie zaczyna wciągać do swej akcji wszystkie sfery społeczne, rozwijając energiczną agitację wszystkimi drogami popularyzowania swych celów, jak odczyty, radjo, kina itp. Na pierwszy plan działalności wysunięto zwalczanie siedmiu grup artykułów przywozowych, stanowiących najpoważniejsze pozycje ujemności bilansu; są to: materiały i wyroby włókiennicze, odzież, konfekcja i galanterja, obuwie, jedwabie, mydła, kosmetyki i perfumy, obuwie gumowe, oraz wyroby szklane.

Wszystkie te wyroby posiadamy u siebie w gałunkach nic lub bardzo niewiele ustępujących zagranicznym, w zakresie zaś jedwabiu nie potrzebujemy



nawet surowca. Chodzi tylko o pchnięcie raz nareszcie naszego jedwabnictwa na drogę racjonalnego rozwoju.

Jest to, tak samo jak kilimy, niewyzyskana kopalnia złota! Samowystarczalność gospodarcza, uniezależnie-

nie się od produkcji zagranicznej, równowaga bilansu krajowego jest sprawą naszej dumy narodowej moralnie, a materialnie—kwestją podstawowego dobrobytu ogółu i każdej w najszerszych masach poszczególnej jednostki.

Natalja Jastrzębska.



Z. ZALESKA

## WIEŚ I... CAŁY KRAJ

Dnia 5 listopada r. bież. odbędzie się w Częstochowie doroczny zjazd Kół gospodyń wiejskich (sekcja przy Centralnem Towarzystwie Rolniczem), Zjazdy te stają się już poprostu imponującą manifestacją pędu kobiet wiejskich do zdobywania wiedzy gospodarczej i podnoszenia poziomu życia cywilizacyjnego i kulturalnego wsi polskiej. W roku zeszłym u stóp Jasnej Góry stanął pochód Zjazdowy w liczbie 2.000 gospodyń, przybyłych z całego kraju na własny koszt (mają tylko zniżki 66% w drodze powrotnej). Wynik to owocnej pracy instruktorek, które jeżdżą od wsi do wsi, ucząc gospodarstwa domowego (gotowania, prania, sprzątanania i t. p.), higieny i pielęgnowania niemowląt, szycia i kroju. Zdobywają one sobie wraz z całym zarządem sekcji Kół, na którego czele stoi p. Aniela Zdanowska, pełne uznanie i zaufanie gospodyń. Zjazdy zaś—łączone zwykle z wystawą praktycznych urządzeń wnętrza chat i pokazem higienicznym, omawiające szereg zagadnień, najbliższych związanych z życiem kobiety wiejskiej—dają im korzyść „wyjścia na szerszy świat”. Z prawdziwą radością obserwuje się, jak śmiało przemawiają uczestniczki Zjazdu, wskazując potrzeby wsi, jak wyrabia się—dzięki pracy Kół—„uobywatelnienie” ich członkiń!

Identyczną pracę prowadzą Koła, zakładane przez Stow. Zjedn. Ziemianek, które instruktorki swoje przeszkolają we własnej szkole w Puławach,

Statystyka biura Rady Naczejnej Gospodarczego Wykształcenia Kobiet za rok 1927 wykazuje następujące cyfry. Instruktorki sekcji Kół gospodyń przy C. T. R. w liczbie 21 przeprowadziły: 104 kursy gospodarcze 30 kursów zdrowia, 18 kursów hodowli drobiu, 8 kursów szycia, przy ogólnej liczbie 5.250 uczestniczek. Instruktorki zaś Stowarzyszenia Zjednoczonych Ziemianek w liczbie 86 przeprowadziły: 159 kursów sześciu i ośmio-tygodniowych szycia i kroju przy 2.980 uczennicach; 228 kursów jedno i dwutygodniowych gotowania i porządków domowych przy 2.560 uczestniczkach; prócz tego doktor-instruktorka przeprowadziła

16 kursów sześciodniowych higieny przy 780 uczestniczkach. Jak na jeden rok—cyfry poważne.

Dochodzą do nich jeszcze ilości wygłoszonych pogadanek ogólnokształcących i wycieczek, organizowanych dla zwiedzania wzorowych gospodarstw i t. p.

Nie trzeba, chyba, dowodzić, jak ważne znaczenie ma wycieczka taka na wystawę rolniczo-hodowlaną, gospodarstwa kobiecego, przemysłu ludowego dla kobiet, które poza wsią swoją i parafją—jak to się mówi: „świata nie widziały”. I—jakie znaczenie ma dla nich zwiedzenie takich miast, jak Kraków, Warszawa, Poznań, Wilno, Lwów; takich okolic, jak nasze pobrzeże morskie z portem Gdynskim na czele, lub nasz Śląsk i zagłębie naftowe, wreszcie—góry. Roztwiera im to oczy na wielkość, bogactwa, potęgę Ojczyzny i uczy, uczy, uczy. Po powrocie do domu, nawet te, które trzeba było namawiać, niemal prosić, by chciały pojechać,—opowiadają bez końca swoje wrażenia, starają się zastosować praktycznie zdobyte wiadomości, są, poprostu, dumne ze swego kraju i—na następną wycieczkę jadą już bez prośzenia.

Leży teraz przedemną kilka listów od członkiń wspomnianych Kół i drobno zapisane arkusze sprawozdania jednej z instruktorek. Wycieczka miała tu za cel zapoznanie gospodyń z powiatu grodzieńskiego z gospodarstwami Poznańskiego. Ministerstwo Rolnictwa udzieliło subsydjum 1000 zł., ministerstwo kolei dało zniżkę na biletach i 32 gospodynie pod przewodnictwem instruktorki okręgowej p. Anny Roguskiej (Stow. Zj. Ziemianek) ruszyły przez Grodno i Warszawę do Poznania. Na zwiedzenie Warszawy poświęcono dwa dni. Uczestniczki wycieczki były w katedrze, na Starem Mieście, w Zamku, w domu Baryczków i w Muzeum Narodowym; na wystawie Łowickiej, w T-wie przemysłu ludowego, w T-wie Zachęty do sztuk pięknych, w Łazienkach; zwiedziły gmach sejmu, były w cytadeli, u grobu Traugutta i u grobu Nieznanego Żołnierza. Już tu zaczęło się zdumienie nad oglądaniem gmachami i porównywanie nprz. wy-



robów łowickich i eksponatów przemysłu ludowego. Zwiedzenie Poznania, gdzie wieczór spędziły na operze, „olśniło“ je, a widok gospodarstw poznańskich dał odczuć, jak i ile należy zmienić we własnym środowisku, by dojść do tego poziomu.

Wycieczka zwiedziła w przeciągu 3 dni gospodarstwa rolne i ogrodnicze we wsiach: Naclaw, Czarków, Piątkowo, szkołę gospodarczą dla dziewcząt w Nietażkowie. Potem 2 dni spędziła w Liskowie, który jest „najsilniejszym argumentem dla wyników pracy gromadzkiej”. Zwiedzając te gmachy piętrowe, murowane, w których mieszczą się sklepy spółdzielcze, mleczarnia, piekarnia, cegielnia parowa, szkoła rolnicza, sierociniec,—gospodynie z Grodzieńszczyzny ze łzami pytały instruktorki: „kiedy to u nas tak będzie?” Czwartym etapem było Kępno, gdzie wycieczkę przyjęło tamtejsze Koło Włóścianek oraz przedstawicielki instytucji społecznych, a na czele komitetu przyjęcia stał sam pan starosta (Cóż dziwnego, że wrażenie spójni i serdeczności społeczeństwa poznańskiego odniosły „Grodzieńszczanki“ tak wielkie?). W Kępnie odbywał się właśnie walny zjazd powiatowych Kół włóścianek, na którym było obecnych 460 delegatek, kilkanaście ziemianek z okolicznych dworów, duchowieństwo, przedstawiciele władz państwowych, samorządowych i oświatowych, oraz przedstawiciele organizacji społecznych. Sprawozdania z pracy Kół i referaty dały wiele informacji przybyłym, jak „u siebie pracę prowadzić, by—wzorując się na Wielkopolsce—uczynić lepszym i jaśniejszym szare życie nasze.”

W dalszym ciągu zwiedzono Nową Wieś Książęcą, Mikorzyn, Domanin i wszędzie wycieczka—dzień po dniu—znajdowała tak serdeczne przyjęcie (bramy triumfalne, orkiestry, przemówienia, śpiewy, tańce, nie mówiąc o suto zastawionych stołach), że Grodzieńszczanki płakały ze wzruszenia.

„Wszędzie uderzał nas wzorowy ład i porządek, które świadczą o wysokiej kulturze włóścianstwa wielkopolskiego. Dokładne zwiedzenie gospodarstw, pól i domów, wyczerpujące objaśnienia gospodarzy, jakimi drogami doszli do takiego dobrobytu, wzbudzało pragnienie zdobycia jaknajprędzej takiej wiedzy gospodarczej.” „Ze smutkiem opuszczaliśmy gościnną ziemię Kępińską, która w sercach naszych zostawiła niezatarte wspomnienia”. Pobyt w Wielkopolsce „nakazał głęboki szacunek dla wiedzy i kultury zachodnich ziem naszego kraju, gdzie panuje ład i porządek, organizacja pracy, wysoka kultura włóścian i etyka współżycia. Sądzę (pisze instr. p. Roguska), że będzie to najsilniejszy punkt we wspomnieniach naszej wycieczki, który bezwątpienia wpłynie na zmianę dotychczasowego poziomu naszego życia na wsi w tych ośrodkach, z których pochodzili uczestnicy wycieczki.”

Cytuję wrażenia tej wycieczki, jako typowe, gdyż stykając się z gospodyniami wiejskimi, stale słyszę podobne. I dlatego sądzę, że niema bardziej przekonującego środka nad taką wycieczkę, gdy chodzi o pracę nad podniesieniem cywilizacyjnym wsi polskiej i wyrwanie jej z zakłętego kręgu własnego tylko małego światka. W roku bieżącym kilkakrotnie, w różnych okolicach kraju, zetknęłam się z gorąco wyrażonymi życzeniami poznania, jak to „jest naprawdę w tej naszej Polsce”, zobaczenia stolicy, Krakowa, gospodarstw rolnych innych okolic, kopalni i t. d. Organizowanie wycieczek dla mieszkańców Kresów wschodnich i południowych, a i województw centralnych, na Pomorze i w Poznańskie, zaś dla wszystkich wogóle—wycieczek krajoznawczych z marszrutą, odpowiednio ułożoną—jest konieczne dla zbliżenia, poznania się wzajemnego i współpracy dla dobra całej Rzeczypospolitej. Zaniedbanie cywilizacyjne olbrzymich połaci naszego kraju, które, w miarę podnoszenia ich na wyższy poziom, stawać się będą tym „wewnętrzny rynkiem zbytu”, jaki ze swej strony zdecydować o dobrobycie miast,—musi stać się pierwszorzędną troską wszystkich organizacji.

Czeszki tworzą unję swych związków pod hasłem rozwoju gospodarstw kobiecych wiejskich i miejskich. Twierdzą z całą słusnością, że niema takiej kobiety, któraby nie potrzebowała wiedzy gospodarczej. My na tej samej podstawie możemy zorganizować współdziałanie między organizacjami, pracującymi w miastach, a stowarzyszeniami kobiet wiejskich, ułatwiając i pomagając im w tych wszystkich sprawach, które wchodzą w zakres „miejskich możliwości”. Przed kilkudziesięciu laty Danja zorganizowała taką współpracę: szły z miast na wieś prelegentki, biblioteczki, pomoce dla kierowników i kierowniczek Kół zawodowo-gospodarczych i oświatowo-kulturalnych i t. d. Miasta, zachwiane w swym dobrobycie wskutek ruiny handlu zagranicznego, zwróciły się do otworzenia sobie rynku wewnętrznego, a jednocześnie tą drogą podniosły cały kraj na poziom dzisiejszy ze stanu kompletnego zaniedbania wsi.

Tą drogą znika i analfabetyzm obywatelski, gdy wzrasta zrozumienie znaczenia wzajemnej zależności od siebie tych ośrodków, oraz poznanie siły, jaką daje solidarność w pracy społecznej, wreszcie — poznanie wartości narodowego dorobku kulturalnego, na który składają się pokolenia.

A że wieś umie ocenić rzetelną pracę dla swego dobra, tego dowód dał naprzykład taki sejmik grodzieński, uchwalając głosami gospodarzy 18.000 zł. na przedstawiony przez instruktorkę Roguską program pracy gospodarczo - oświatowej wśród kobiet wiejskich. To mówi samo za siebie.





M. H. SZPYRKÓWNA

## CIEMNE MOCE

Proces marjawicki dobiegł końca. Ale, oczywiście, przeżycia, z nim związane, dopiero teraz zaczną niejako kiełkować i przynosić owoce.

Nie wchodzę zupełnie w sprawę, jako taką. Mówiono o tem dużo, powiedziano o tem bodaj za wiele. Na każdym rogu małe gazetki wykrzykiwały słowa tak wielkie, tak ważne, tak, możnaby powiedzieć, wstrząsające, że dodawać do nich niema powodu. Przeciwnie, o! wręcz przeciwnie! Należałoby raczej ująć czegoś z rozgłosu, a natomiast raczej bardziej zasadniczo samą treść procesu izolować, jak zgangrenowane miejsce na zdrowym organizmie, które musi podlec cięciu lancetu, aby zło usunąć z korzeniem.

Czy tak było? Nie mam wrażenia. Ale zato w związku z procesem miałam kilka wrażeń szczególniejzych.

Słuchałam, co mi te sensacyjne wykrzyki, deklamujące w środku najbrudniejszych dodatków kryminalnych i szczegółów drastycznych, nazwę godności kapłańskiej, jakkolwiek z odszczepieńczego kościoła: co mi to wszystko przypomina?... I nagle — umiejscowiłam sobie, co. Rasputin! Rosja! Te same sensacyjne i niesamowite tytuły brukowych świstków, te same strzępy jakiejś pseudo-duchownej ideologii, wdeptane w krwawe błoto i roznoszone na obcasach gazetkarzyków po ogromnej, ponurej stolicy caratu. Orgje w pałacach, łaźnie, cygańskie chóry... Wszystko to już było! Wszystko, z małemi lokalnymi odmianami, przewinęło się przez arterje wielkiego miasta i wielkiego narodu — jako pierwszy zapowiedni zastrzyk rozkładu, który powalił następnie potężną monarchję i zgangrenował potężny naród. Sprawa Rasputińska, niezależnie od polityki zewnętrznej rosyjskiej, była i będzie słusznie rozważana zawsze przez ogół w sensie pierwszej zarazy, zaszczepionej na organizmie państwa, i której dano się rozrość tak, że zatrała go niepowrotnie.

I jeszcze raz powtarzam: nie wchodzę w meritum samego procesu. Biorę tylko okoliczności towarzyszące. Biorę tylko wpływ, jaki z konieczności na miasta wyrzucił musi.

Wczoraj byłam na jakimś filmie. Rozmowa, podśluchana w hollu:

— Ale chodźmy na coś, żeby potem była jeszcze jakaś komedja!

— No, to świetnie! Właśnie na to, bo po dramacie dają proces marjawitów. Można będzie się uśmieć tam i zpowrotem.

Poszłam na film. Nie! Nie uśmiełam się ani tam, ani zpowrotem! Przeciwnie: głęboko się zastanowiłam. Czy państwo mogą sobie wyobrazić psychologję normalnej młodej dziewczynki — nieletniej!.. — która z tych czy innych powodów staje się soczewką, skupiającą tysiące obcych, szyderskich, obelżywych spojrzeń, nicujących przez suknię jej osławioną ze skandalicznego procesu ciało?... Dawniej, za mniejsze przestępstwa stawiano pod pręgierz i chłostę, i walczyliśmy wiekami, aby od tego okrucieństwa i hańby kobietę — człowieka wogóle!.. — uchronić. Wywalczyliśmy!

Dziś, proces marjawicki jest radosną rozrywką towarzyską dla jego uczestniczek. Dzikie wrażenie odnosi człowiek, patrzący na szybko, jakby wstydliwie przemykające się przed tysiącem oczu na płótnie obrazy z procesu. Błyszczące ożywieniem oczy, podniecone twarze, zafryzowane kokieterijnie włosy, zalotne spojrzenia. Te panie czują się poraz pierwszy zapewne gwiazdami w społeczeństwie, które dotąd mało o nich wiedziało. Zabłyśły! Piszą o nich, fotografują je, usiłują z nimi pomówić panowie dziennikarze z wielkich miast, usiłują je sfilmować aparaty wielkich firm... Glorja i upojenie! Inne muszą poto uciekać z domu, tułać się po świecie, jechać aż do zakłętą Hollywood. Dopiero wtedy może zostanie sławną! A one zostały sławne szybko i bez fatygi, i są bezwzględnie pod urokiem nagłego rozgłosu.

Patrzę na te roześmiane, młodziutki, już naznaczone wiadomością dobrego i złego, twarzyczki. Wiadomo o nich, że...

Nie będę wymieniała, co wiadomo, właśnie dlatego, że sprawy te są znane i powtarzać je in extenso nam — postronnym kobietom — jest raczej przykro i — raczej wstyd. Ale gdzież jest ta przykrość i gdzież się podział ten wstyd u nich samych, bohaterek tego kryminalnego romansu? Gdzież są ich matki, ojcowie, krewni?

Co mówią ich przyjaciółki? Czy mogłyby się uśmiechać i wdzięczyć w ten sposób na upokarzającym każde... ciało kobiece, żeby już o poczuciu moralnem nie mówić — procesie, gdyby otoczenie ich miało w stosunku do nich postawę, zrozumiałą dla każdego przyzwoitego człowieka, którego oburza kalanie najświętszych haseł dla celów nieprzyzwoitych? Postawę już nie czcicieli pręgierza i biczowania, ale poprostu — dezaprobaty, tylko zwykłej, życiowej dezaprobaty, jak wobec szulera, świętokradcy, czy rozpusty, która, nas prywatnie nawet nie dotycząc, dotyczy jednak naszych



pojęć o pewnej przyzwoitości, pewnej etyce, pewnej schludności fizycznej, czy moralnej? Jak nie aprobowalibyśmy zalotności, czy śmieszków u osoby, nam obcej, idącej za obcym nam pogrzebem, nie dlatego, żeby to obrażało nas osobiście, ale dlatego, że obraża nasze poczucie poszanowania dla pewnych idei i założeń?

Otóż mam wrażenie, że... zatracamy poczucie wartości moralnych obiektywnie i reagujemy jeszcze ostro tylko tam, gdzie my sami, my osobiście, czujemy się dotknięci.

A pozatem... Mój Boże! Wielkie miasta wyrabiają pewien strychulec na pojęcia, i jest on daleki od norm etycznych, a nawet — estetycznych. Zbliża się nieco do znanej teorii murzyna: dobre jest, jeżeli ja komu ukradnę żonę; złe jest, jeżeli mnie kto żonę ukradnie.—Z małemi odmianami. Dobrze jest, jeżeli się bawię tem, co dotyka kogoś, a złe jest, jeżeli się ktoś bawi tem, co dotknęło mnie! Ale zabawność lub nudność rzeczy — oto najpopularniejszy miernik, jakim dziś przeciętnie niezaangażowany widz mierzy zjawiska życia.

Powiedzenie: — Pójdźmy na proces marjawitów, można się będzie uśmieć tam i z powrotem — jest najtypowszem powiedzeniem współczesnego obojętniaka. Gdzieś, ktoś, za coś, kogoś procesuje, i to nawet skandalicznie? Tem ci lepiej, byle nie mnie! Będzie na co popatrzeć. Ba! Co innego, gdyby to dotykało nas lub naszych bliskich! Ale tak?!

Taki jest mniejwięcej poziom ulicy, która już nie ma bezpośredniego oburzenia na rzeczy oburzające, jak prosty lud, a która jeszcze nie ma obiektywnej miary etycznej, czy społecznej na zjawiska, bezpośrednio jej nie dotyczące. I jest to okropne! Zatracą się sąd etyczny u ludzi, szkodami nieetyczności nie dotkniętych. Zatracą się kultura pewnych idei dla nich samych; poszanowanie pewnych świętości w imię samego ich piękna i nietykalności. Tylko namacalne, bliskie skutki ważą: abstrakcyjnie pojęcie zła i dobra niweluje się coraz więcej. Dobrze jest, jeżeli okradnę bank i ucieknę do Ameryki,—złe jest, jeżeli mnie zła-

pią.—I odwrotnie, stanowisko otoczenia: nie złapali go, że ukradł, więc ostatecznie, poco robić historje?! A złapali: ciekawe, jak się taki z tego wymiga?!—Życie i jego zjawiska stają się coraz bardziej — filmem zbrodni, czy romansów kryminalnych, wśród których czasem, jak w tanim kinie, zapłacze się jakiś naukowo-ideowy elaborat... dla młodzieży, a na który młodzież nie idzie.

Ktoś, bijąc krzepnącemi skrzydłami, leci zdobywać biegun; ktoś umiera, zatykając sztandar swojej ziemi na ziemiach jeszcze niczyich... Ktoś walczy o dziwną chimere, której na imię: Idea—i gdzieś daleko, w Meksyku czy innem Peru, tysiące mężczyzn, kobiet i dzieci padają pod kulami za... świętość idei kościoła. Zato, aby jego kapłani byli istotnie kapłanami; zato, aby jego ołtarze były istotnie nieskalanemi ofiarnikami najczystszych darów ducha, składanych dalekiemu Bogu. Za... ideę. I nie śni im się zapewne, i obyż się nie dowiedzieli!... że w kraju katolickim, jakim nie wolno być ich krajowi ludzie z uśmiechem i ciekawością idą patrzeć na proces, którym secesja tego kościoła bawi gawieź, sącąc powoli truciznę w arterje miasta i deprawując pojęcie kapłaństwa, posłannictwa, modlitwy i kościoła, jako takiego.

Bo nie może być wyznaniem wiary — wyuzdanie fizyczne, i zawsze zostanie tylko wyuzdaniem — wyznanie, że takimi się operuje ideałami wiary. Czasy ciemnego, wschodniego opętania mistycznego, jakiego widownią była i jest Rosja, nasuwają się czasem na nas zza kordonu, jak ciemna chmura. I tam się szerzyły zawsze w czasach przełomów przeróżne sekty biczowników i odszczepieńców, które, spadłszy z hierarchji ducha, z konieczności pogrążyły się w kult ciała: Rasputin był ostatnim, jaskrawym przedstawicielem tego mistycyzmu zmysłów. Na wroga zewnętrznego mamy warowne granice, mamy nasz K. O. P., broniący rubieży: ale gdzież jest granica i szaniec, ale gdzież jest Korpus Ochrony Pogranicza zła i dobra, które w naszych filmowych czasach tak ściśle się zazębiają, że już przestajemy rozumieć, gdzie należy postawić graniczny mur?...





FELICJA KRUSZEWSKA

## M O D L I T W A

O życie nagie i groźne, w głowę walące obuchem,  
o głosy, jak wichry Twoje wiejące, huczące nad uchem —

O miecz, wbity głęboko w serce, krwawiące się z bólu słowami,  
o mękę, mękę najświętszą, którą się dźwiga skrzydłami —

O skok z dna samej otchłani, o lot podjęty na nowo,  
o meteory, o gwiazdy chrześzczące nisko nad głową —

O radość zwycięstwa w walce, o szczęście najbardziej szalone,  
gdy myśli chwytą się w ręce, jak cugle w pędzie sprężone —

O bicz ducha, rażący ciało palącą, miazdzącą podniętą —  
proszę Cię, Boże Stwórco, Boże, największy Poeto!

## MODLITWA ZA SZALONYCH

Spójrz, Boże, na braci moich, braci, tonących w odmęcie,  
na otchłań, w której dna niema, na dróżki ciemne i śliskie.  
Przetnij te drogi zawile, stań krzyżem na każdym zakręciel  
zbliz oczom to, co dalekie, i uczyn dalekiem bliskie.

Splyń blaskiem na czarne przestrzenie—oliwą na fale wzburzone,  
liściem zielonym na głazy, potokiem luń na pożary  
i zagaś gwiazdy mordercze, ognie ślepiące, czerwone,  
ziemi i nieba i świata unieś straszliwe ciężary.

Wyzwól zduszonych w zamknięciu, granice daj nieskończonym,  
dźwiękami kamienowanym użyż łagodnej ciszy,  
weź w rękę serca szklane, ach, ucisz serca-dzuony  
i wypłosz z mózgów zbolatych okrutne, drapieżne myszy.

Bądź łaskaw niemożliwemu, a radość daj możliwościom,  
odciętym od nas, wykłętym, przerzuć do siebie mosty —  
wkrócz, Panie, w ich szaleństwo, opętaj ich swoją miłością  
i ukąż za śmierci granicą szlak jeden jasny i prosty.





HERMINJA NAGLEROWA

5)

## NIEPOTRZEBNE WZRUSZENIE

(nowela)

Gdy jednak naprawdę nastął już ten wolny czas, a do późnego ranka przespana noc pokrzepiła ciało i wygładziła myśl, okazało się, że Edzio właśnie przepadł od paru godzin.

— Poszedł z Ewą na plażę — wyjaśniła doktorowa.

I nagle zabrakło na cośkolwiek ochoty. Godziny rozwlokły się, jak ziewanie w szeroko otwartych ustach. Lucjan porządkował niby książki, nasłuchując, czy nie wraca marnotrawny przyjaciel. Oczywiście, tuż przed obiadem wrócili oboje i długo sprzeczali się o coś w przedpokoju. Prawie nie można było rozpoznać głosu Edzia, mażącemu się rozżaleniem.

— Panno Ewo, tak przecież nie wolno...

Lucjan szarpnął się: — Czyżby go skrzywdziła ta nieznośna dziewczyna?!

Prędko otworzył drzwi, aby właśnie jeszcze zobaczyć szamocące się ręce obojga. Ale Edzio ucieszył się szczerze:

— Oh, dzień dobry panu! Smażyliśmy się nad Wisłą z panną Ewą. Nie ma pan pojęcia, jaka z pani świetna pływaczka!

— I wiosłarka! — krzyczała Ewa już na progu swojego pokoju.

— Pani jest naprawdę wszechstronna — przyznawał Edzio.

Lucjan był nieco oszołomiony tem wszystkim i właściwie nic go nie obchodziły zalety Ewy. Była raczej niemiła z tem swoim przechwalaniem się i krzykliwą wesołością. Edzio, czerwony od słońca, rżał, jak źrebak i nie chciał pójść na wędzidło: — Później, po obiedzie pogadamy o ważnych sprawach.

Nieinaczej także zachowywano się przy obiedzie. Doktorowa czuliła się do Ewy, chwając jej fularową sukienkę i zdrabniając imię na Ewunia. Edzio, jakby zgłupiał zupełnie, bo powtarzał za matką prosto w twarz dziewczyny: „Panno Ewuniu“. Felicja marszczyła czoło i potakiwała życzliwie. Do tych pieśczośliwych świergotów trudno było docześcić się Lucjanowi, a skoro milczał, był jakby opuszczony i zapomniany przez wszystkich. Parę razy zahaczał Edzia pytaniami, które niezręcznie wdzierały się między te musujące śmiechem nijakie słóweczka o piegach na nosku Ewy, o spuszczonej oczku w trykocie. Prawie niemożliwe było słuchać tych głupstw, które sypały się poprzez stół, jak barwne korjandoli.

— Zupełnie festynowo-jarmarczny nastrój! — drwił Lucjan, a potem już niemal przemocą zaciągnął

Edzia do swego pokoju i odrazu zabrał się ostro do pupila.

— Jak tam z projektami?

Edzio zagwizdał zuchowato: — Coś się obmyśla właśnie. Panna Felicja toruje drogę przez swojego szefa i są nadzieje.

Lucjan niebardzo pochwalał orędownictwo panny Felicji, nawet nie wierzył, żeby z tego co wynikło. Najlepiej trafić odrazu do samego Pana Boga, a takie wślizgiwanie się przez szpary od drzwi — poprostu nie przystoi.

Prawie gniewał się na Edzia, niczem na opieśzalego ucznia, bo gdzież ambicja, żeby zdawać się na protekcję — panny Felicji?! Akcentował tak dobitnie, że Edzio chyba mógł dorozumieć się, jaki zapaszek ma ta cała sprawa.

Edzio, oczywiście, nie był w ciemni bity i mówił o wpływach Felicji, poprostu — dosłownie. Mimo to, dobra jest i życzliwa, skoro tak się nim zajęła. Trzeba się najpierw byle gdzie zaczepić, a potem jakoś pójdzie. Zresztą, może się przecież przyznać, że teraz nie ma grosza w kieszeni, a od matki trudno brać. Wszystko po ojcu wydał na studia w Paryżu, a teraz, kiedy i tak się nie udało z egzaminem, nie ma nawet prawa być matce ciężarem. Oto tak stoją sprawy i dlatego nie wolno odrzucać niczyjej pomocy.

Lucjan zamyślił się nad tą oczywistą niedolą młodego przyjaciela. Na powiekach zatrzepotało niby wstydem. Bo, jakże to zrobić, by stało się tak, jak zamierzał? Zwyczajnie sięgnąć do portfela i powiedzieć: — Chęnie panu pożyczę? Albo: — Nie martw się, chłopcze, mogę ci służyć małą sumką? — Kiedy wszystkie te zwroty, tak zwyczajne w podobnych sprawach, nie miały właściwie nic wspólnego z przyjaznym wzruszeniem.

Nie mógł sobie uprzytomnić, jak się to odbyło, że wreszcie dał Edziowi pieniądze. Pamiętał tylko zażenowane: dziękuję — i długotrwałe, parne milczenie. Potem, zdaje się, Lucjan powiedział niezręcznie, że to drobiazg, zwróci mu, gdy będzie na posadzie, i Edzio, jakby naprawdę czemś dotknięty, prędko wyszedł z pokoju. Nie zdążył się z nim nawet umówić na wieczór do parku. Choć może właśnie lepiej, że dziś nie będą razem, niech chłopak zapomni o tem, co napewno musiało być przykre dla niego. A tymczasem wystarczy Lucjanowi malutka radość, że się coś konkretnego zrobiło dla przyjaciela.



Więc też Lucjan, włączając się potem sam po alejach parku, wywijał laseczką i omal nie śpiewał: „Mary Lou, Mary Lou”... Pijąc przy budce wodę z sokiem, musiał pomyśleć: chodził biedaczysko bez grosza w kieszeni i nawet na taką szklankę wody nie miał! — A gdy się tak myślało, woda smakowała lepiej i było wogóle dobrze na świecie. Ptaszek śpiewał wśród klonowych gałęzi, a zapach lip przypominał jakiś dawny, wesoły wieczór młodości. Serce nawet jakby podskoczyło do figlarnych wspomnień, i trzeba było przysłonić oczy powiekami, ażeby nikt nie dojrzał w nich śmiesznej uciechy. To też wnet odrzucił Lucjan to, co się tu przyplątało niepotrzebnie, i podjął życzliwą myśl o przyjacielu. Zawsze przecież była w pogotowiu, niby nieodjęta własność serca.

Błękitnawy zmierzch brał w siebie te myśli Lucjana i możnaby powiedzieć, że były wewnątrz i zewnątrz. Oddychało się niemi. Były, poprostu, tak potrzebne do życia, jak oddech.

Następnego dnia od samego rana mroczyło się na burzę i tylko Felicja poszła, jak codzień, do biura. Służąca miała słuszne pretensje, że wstaje się zapóźno i nie można nadażyć ze sprzątaniami. Spędziła więc wszystkich do saloniku, gdzie Edzio urządził sobie „buduar”, pachnący wodą kwiatową i mydłem do golenia. Lucjan krzywił się na te zapachy, Ewa natomiast musiała obejrzeć wszystkie flakony i pudełka.

Doktorowa uraczyła „gości” Edzia poziomkami ze śmietaną, mówiąc:

— Podjedzcie trochę a ja idę na miasto.

I wtedy właśnie odbyło się to dziwnie widowisko. Podano, bowiem, za mało łyżeczek i nikomu nie chciało się iść do kredensu. Poprostu — nie chciało się! Zaczęło się właściwie od kaprysu Ewy, która oświadczyła, że wogóle jeść nie będzie.

— Ja panią nakarmię — powiedział Edzio.

Ewie wydało się to „strasznie śmieszne” i zaraz wysunęła wpółotwarte wargi. Karmienie odbywało się wśród grymasów i karesów, było się niegrzecznym dzieckiem, a Edzio robił dobrą, cierpliwą nianię. Mówiło się dziecinnym szczebiotem, przekręcając wyrazy, z czego wytworzyły się pocieszne, gruchające słówka. Lucjan śmiał się nieszczercze i coś ze swojego kąta dogadywał, choć nikt nie zwracał na niego uwagi. Wypadało więc zmilknąć i tylko patrzeć na tę bezrozumną zabawę.

Płomień obejmował głowę Lucjana, spływał po karku i rozpiekł się na policzkach. Teraz wiedział

już, co się tu święci. Poznawał splątany blask źrenic, łakomstwo poczerwieniałych warg i niebezpieczne zętknięcie się kolan. Trzeba było może wykrzyknąć jakieś brutalne słowo, któreby trzasnęło biczem nad głowami tych opętańców. Może nawet powinien doskoczyć do nich, szarpnąć chłopaka za kołnierz i odrzucić go w kąt pokoju.

— Panie Edziu — powiedział cicho, niemal prosząco.

Edzio odwrócił nieco głowę, ale wistocie jakby nie widział Lucjana.

— Chciałbym z panem porozmawiać w pewnej sprawie — dopraszał się nikły głos.

Młodego przyjaciela nie obchodziły jednak w tej chwili Lucjanowe sprawy i wogóle nie słuchał, jak gdyby nie do niego mówiono.

— Moglibyśmy teraz omówić... — upierał się Lucjan. I dalej niesłuchany, niezauważony wykladał coś o koledze, który tak wiele potrafiłby zrobić; trzeba by tylko uzgodnić plan działania. Przyrzekał bodaj złote góry, przesadnie przechwalał się wpływami, puszył się, że, gdy zechce, wszystkie drzwi staną otworem. Aż gorąco stało się od własnej ważności i od natężonej chęci zwrócenia na siebie uwagi.

Ale oni dojadali już resztę poziomek, prawie spięci głowami.

Wtedy Lucjan zabełkotał coś — o swojej szczerzej przyjaźni dla Edzia i o tem, że nie należy pogardzać niczyjem przyjacielstwem. Lecz słowa grały tylko na wargach, wracając zpowrotem do wzburzonego serca. Tam tłumili się gniewne, złe, wypominające, że nie godzi się tak z dnia na dzień zapominać o przysługach!

Ale znowu ugrzęzło się miękko we wzruszeniu: — kocha przecież tego chłopca, jak — syna! Nareszcie, nareszcie znalazło się to słowo, które od razu wyjaśniło wszystko. I dlatego właśnie niczego nie trzeba było żałować, ani zbyt wiele wymagać. Sam przecież, nieproszony, przygarnął się swoim uczuciem, i może je zatrzymać, może cofnąć — nikt się o to nie zatroszczy.

Przez mgłę, która zmaciła się bliźutko, na samej źrenicy, widział teraz, jak oboje zerwali się, goniąc się wśród mebli; poczem z głośnym krzykiem wypadli przez drzwi. Usłyszał jeszcze łomot ich kroków i nagły, zwycięski śmiech Ewy. Usta Lucjana rozciągnęły się niby także do śmiechu, ale w sam raz skrzywił je grymas smutnego wzruszenia.

K O N I E C





Z. REUTT-WITKOWSKA

## CZUJNY STRÓŻ

(Epizod z „Dużego Toma”)

Lubił Jarema powiadać niestworzone historie o djablach, djablętach, djablikach, przekornych, złośliwych figlarzach, którzy nici płaczą na kołowrotkach babom, włożą w dzieżę z ciastem tak, że rośnie a rośnie od nich ciasto, cwałuje, a potem pójdzie w piec i — klap! zakalec gotów.

Djabliki różne potrafią sztuczki. — O, patrz panienka na tę gruszkę! ładny owoc, co? a niechże jej panienka nie ruszy: nie daj Boże, co byłoby!.. Tam djablik zamieszkał.. Nie wierzy panienka?

Długim kijem sękatym tknie żółtej, pięknej bery na gałęzi: ze złością wypadnie stamtąd osa... jedna, druga, trzecia... — Aha! widzi panienka! całe to gniazdo czorcząt rogatycho!

— Widzę osy, mój Jarema! gdzież te wasze djabyły!

— Osy... osy, nie osy... Bo nie takto panienka widzi, jak trzeba. Rogi te czarne, patrz, jak wystawiają, żółto-czarne to, jadowite, złe! — Raz jeszcze stuknie o gruszkę i pęc! odpadnie owoc od gałązki... — Myślisz panienka, owoc? a to już tylko skóra z gruszki została na pomieszkanie djabelskie...

— Hm. Żle ze mną, panienka. Djabliki owe pomścżą się za dom spustoszony... hm, hm. Trzech ich było... tedy wróca ich dwadzieścia sztuk i jedna, bo, jako powiada Pismo, każdy djabeł wraca z siedmiu braci swoich. Żle. Księżycowa dziś noc, piękna. Bo jeno po nowiu samym odfruwają djabliska, ile ich tylko jest po świecie, włóczęgów, do króla swego jego mości, który mieszka na bardzo wysokiej, lodowatej górze i miota z niej prosto płomienie Panu Bogu w gwiazdy: a to, powiadają, w kaszę Mu pluje niebieską... zaś Pan Bóg nierychliwy, cierpliwy... Zła dziś będzie noc...

Anuli niebardzo chce się wierzyć w historie djabelskie Jaremy. Odważna z niej i roztropna dziewczynka. Figlarz zaś w niej zaszyty oddawna czai się na śpiochów parkowych, jakby ich na dudka wystrychnąć.

Otóż bardzo pięknej tej, ciepłej nocy księżycowej zdarzyło się, że biała, niewielka postać wyslizgnęła się z pod błękitnej kołderki, wdziała pantofelki, błękitny szlafroczek i...

Warknął zlekka biały, ciepły kłęb, skulony u nóg pana, śpiącego sprawiedliwie na jednej z ław zacisznych, a kredą święconą narysowany szeroki krąg broni ławy od Kusego wroga...

Głowę Żuk podnosi... — Anzo, Anzo!.. — nawołuje cichutko znajomy dobrze głosik... Porwie się pies, w kilku susach dopadnie tarasu.

— Masz cukru, Anzo, masz... piesek dobry!.. — Chrupnął pies, czarne wargi i nos zimny, mokry zamasyście oblizał. — A teraz waruj! leżeć!.. — Rozpłaszczła się pies na tarasie, wyciąga, jak długi... pęc!

pęc! wali po kamieniu biały kędzior włosa, zdobiący koniuszczek ogona.

Anula wyciąga błyskawicznie z koszyka... co? ani-byscie zgadli! malutkie dwie blaszanki po proszku do zębów i wielkie dwa pendzle pana Huptysiowskiego.

— Leż! grzecznie!.. — Zieje pies, zadziwiony. Pendzel jeden ryje energicznie w jednej blaszance i bacbac! dotyka psiego czuba i parzystych kępek zadnich — prawej, lewej — a potem drugi pendzel nurza się w drugiej blaszance i przewija się zwinnie po czworgu kosmatych kamaszkach pudła i wdzięcznej kępcie włosa na koniuszczku ogona.

— Już! — porwie się pies. — Na cukru tobie, na! — Chrup-chrup...

— Pódź, pódź do nogi! — bo widzi Anula z przetrachem, że pies się już marszczy, warczy, kły szczyrzy na koszyk, w którym telepie się jakby coś żywego... nie blaszanka żadna!

— Anzo... Anzo! przynieś panience jabłek, idź!.. — rzuca kosz daleko, pusty już... a sama mocno trzyma dobyte stamtąd zawiniątko w białej chustce...

Rzuci się pies... balustradkę tarasu przesadzi... kosz obwącha... nieufnie chwilę prycha, parska... poczem w zęby chwyci, posłusznie cwałuje pod murek sadu, precz!

Mała postać do balustrady przeciwnej chyżo podejdzie: wyswobodziła zawiniątko z części opakowania, rozwija zwolna długi, długi sznur... a w miarę, jak sznur się rozkręca, zawiniątko w chusteczce opuszcza się podmurówką niżej coraz i niżej... ku śpiącemu... aż doścignie go wreszcie, po czole prześliznie zlekka dobrze wycelowanym pocałunkiem...

Porwie się śpiący i nawznak wali się kłoda. A tam już i psisko rwie od sadu, koszyk w zębach trzyma. Owocu pełno.

— Dobry pies! Dobry!.. — Łasi się. Ogona końcem łaciatym osobliwie wywija... — Idź-że do pana teraz, idź! marsz!.. — bo znów się ku zawiniątku szczyrzyć poczyna gniewliwie i wspinać Żuk... A jeż tam był w osobie własnej, czego słusznie domyśliliście się już sami.

— Sza-sza!.. marsz!

Wraca na posterunek psisko posłuszne, nieświadome zdrady.

\* \* \*

— Tfy! djabła tam, panie Huptysiowski! jeśli bym nie wiedział od ludzi, że w czworakach spał pan, jak suseł, myślałby człowiek co złego... że z Kusym się trzymają aspiana konszachty... a ot, popatrz pan sam: kto mi sobakę nocą wymalował? nie djabeł to, gadajcież!.. Ani kreda nie pomogła święcona... wyważył-że Kusy nocą poza okrąg psisko, niema co!



— Ba, terpentyną umyję wam pudła, to i puści—  
uśmiechnie się pod wąsem Huptysiowski. — A samże  
nie mówiłem do was, że dwa przypadły mi pendzle  
wczoraj... i trochę też glazury ktoś zwędził...

— Mówił każdy, co mówił — burknie stary. —  
A Kusy w tem pazur maczał bez ochyby, nie mówi-  
łem-że ja?! za gruszkę się pomścił, za gruszkę...

— Ależ, Jaremeńku, nie pierwejże znikły pendzle  
i farby, a nie potemżes z gruszki os nawyganiał? no  
nie?! — wtrąci Anula.

— Co pierw, to pierw, a co potem, to potem!  
Nietylko to nad psem pendzle te pracowały: lichy wiel..  
uprze się—i gadaj mu.

— Ha, jeśli nie djabelska to sprawka, terpentyną  
puści i kwita! — ruszy ramionami Huptysiowski.

— Puścić, puści, choć djabelska, powiadam! Któż-  
by mię bo tak zaśpił, ululał na umór?! A ktoby mię  
po czole łaskotał pazurkami, w ucho prychał, jakoby no-  
sem żyjącego stworzenia?! Z Kusym, powiadam, noc  
całą borykał się ja, panie Huptysiowski, z nim-że!!

— A jabłek z półkoszka rozsypał wam zły do  
samych nóg... no, no! nadzwyczajna historja!!—zaśmie-  
je się pan Huptysiowski. — Żal, że po tarasie jakies-

ci tam zielone i czerwone plamy, zdradzają mi, że ktoś  
tam właśnie farb moich zażywał... a ślad nie kopytek  
djablich, ale zwyczajnych sobie nóżąt zostawił...

Zapłoni się, jak w zbożu mak — Anula.

— E, malować, może kto co sobie i malował...  
Ale to nie to!! Gdzieżby mi człowiek psa taksował  
farbą w nocy, a ja nic?!

— Ba, spaliście dobrze, Jaremeńku, toż sami po-  
wiadacie!.. A ja widziałem, w kuchni suszyły się dziś  
od rana jakoweś okrutnie zroszone pantofelki... W obiad  
zwiem się, ktoby to pudła wymalował, a jeża... ile  
mniemam... na łeb spuszczał waści!..

— Oj, pójdzmy tam zaraz, panie Huptysiowski!—  
zawołała Anula; za rękaw go ciągnie, a na psa woła:—  
Pódz, pódz, Anzotku, pięknie cię umyjem!..

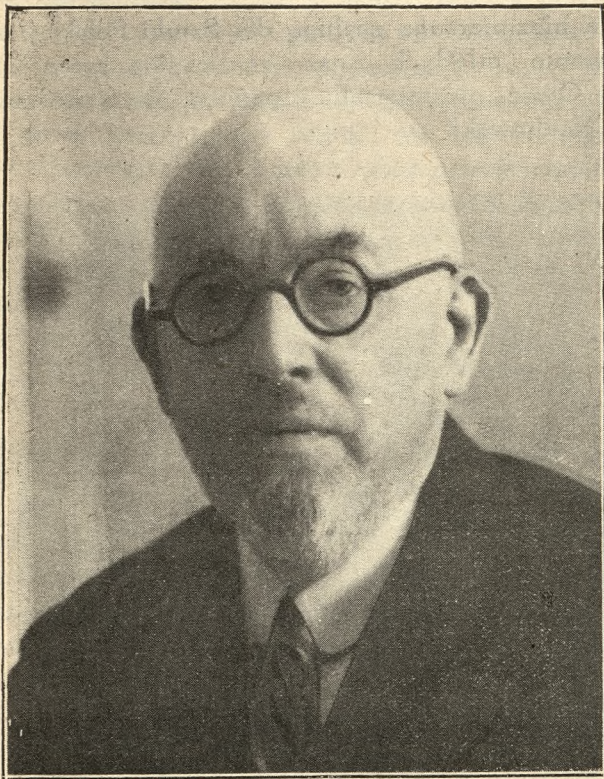
Dowiedział się wielu rzeczy pan Huptysiowski.

Jarema jednak do śmierci był przekonany, że  
Kusy mu figla wypłatał w noc piękną, lipcową. Hup-  
tysiowski z Anulą, ba! pani Miłkowska — i wszyscy,  
wszyscy spiknęli się, żeby go przegadać, ale on, Jare-  
ma, nie da się!

— Wie każdy, co wie — i koniec!

KONIEC

## Ś. P. STANISŁAW NOAKOWSKI



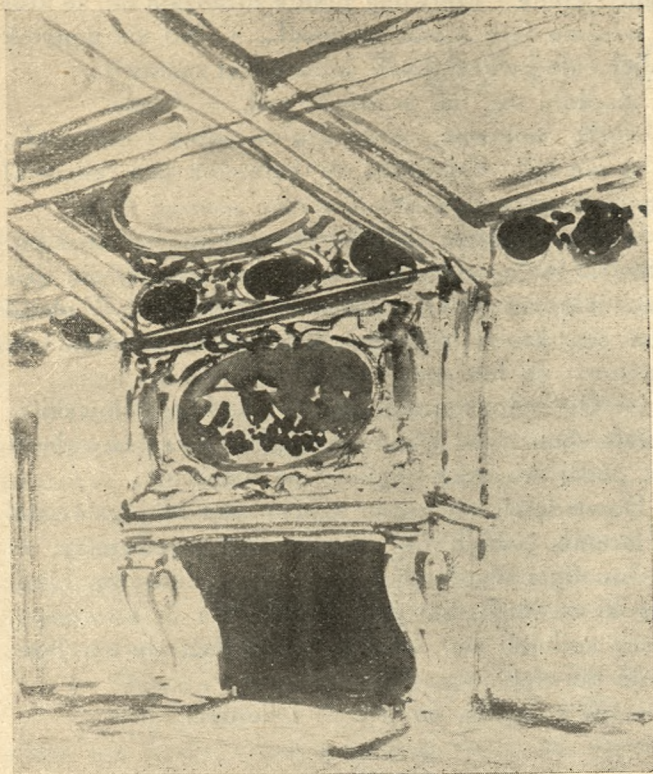
Ś. p. Stanisław Noakowski

Wielki cios spadł na naukę i sztukę polską. Za-  
łobą okryły się serca tych, co Go znali, słyszeli i po-  
dziwiali Jego prace. 1 października 1928 r. zmarł nagle  
ś. p. profesor Stanisław Noakowski.

Od wczesnego dzieciństwa musiała Go umiłować  
Sztuka i wzięła sobie na służbę. Z cichej Nieszawy,  
gdzie się urodził w 1867 r., i z Włocławka, gdzie się  
uczył — poniósł do petersburskiej akademji talent  
ogromny, dopiero mający się rozwinąć i olśnić bla-  
skiem niecodziennym, i wielkie ukochanie, ze wszyst-  
kich gałęzi sztuki najsilniejsze, miłość architektury.  
Ukończywszy akademję w 1894 r., zostaje już oceniony  
i wysłany na czteroletni pobyt zagranicę na koszt  
państwa. Tam uzupełnił swą ogromną wiedzę, podglą-  
dając ducha, zakutego w cudach katedr gotyckich,  
nadsłuchując ech rokokowych pałaców. Bada i rysuje,  
przedewszystkiem rysuje. I oto objawiają mu się dusze  
stylów, zaczyna rozumieć istotę ornamentów, form,  
proporcji — sercem, nie mózgiem. Stwarza oryginalną,  
własną technikę rysunkową, niby prostą i łatwą, a na  
ogromnej wiedzy opartą, gdy jedna kreska zawiera  
w sobie treść całego ornamentu.

Wracając z Zachodu, zwiedza Polskę, przypie-  
czętowanie cały świat wrażeń i przeżyć odczuciem  
własnej, rodzimej Sztuki i Architektury, najbliższej





Jego sercu — i odjeżdża do Moskwy, aby tam, przez długie lata tęskniąc za krajem, za jego przeszłością wspaniałą i wielką, samodzielną sztuką, wyśnić cudowny, królewski sen, zamknięty w długim szeregu szkiców, odtwarzających renesansowe komnaty Wawelu, zamki, salony, pałace, kościoły i kapliczki przydrożne.

Staje się wielkim artystą, architektem - malarzem. Nie buduje, nie walczy o sławę i zarobek. Stwarza wciąż nowe, śmiałe pomysły; odtwarza świat widziany, przez jakiś pryzmat przepuszczony, że bez szczegółów oddaje świetnie całość; umie styl i epokę jednym pociągnięciem pędzla wydobyć. Od niechcenia, bawiąc się prawie, tworzy niewyczerpane pomysły architektoniczne, wciąż nowe, inne, świeże. Jego szkice — to cudne poematy, pieśni, pełne treści, na papierze uwiecznione.

Jakże musiał być szczęśliwy, gdy w 1917 r. przyjeżdża do Warszawy i, zostawszy profesorem historii sztuki, ma możliwość mówić do polskiej młodzieży we własnym języku, w wolnym kraju, o swoim największym umiłowaniu! Jest już wtedy na najwyższym poziomie wiedzy. Jak arcykapłan Sztuki, uczy młodzież patrzeć, rozumieć i czuć sercem, — a jednocześnie sam się chyli przed jej potęgą, uznając swą bezsilność w odtworzeniu tego, co tysiące pokoleń ludzkich w natchnieniu budowało. Wie moc rzeczy, dzieli się radośnie tą wiedzą i zawsze powtarza, że to tylko znikoma cząstka tego, co istnieje na świecie.

Z Jego śmiercią odszedł wielki przyjaciel młodzieży, świetny profesor, człowiek o jaknajszerszych horyzontach myśli i poglądów nawskroś nowoczesnych.

Pilny obserwator życia, znawca ludzi, ich słabostek, śmieszności i zalet, władca ciętego słowa, znakomitych określeń i definicji. Gdyby miał czas i ochotę, zostałby napewno wziętym pisarzem: jego szkice literackie tętnią barwnością i życiem.

A znając tak świetnie ludzi, kochał ich jednak jakąś wielką, chrześcijańską miłością.

Ten wielki artysta, uznany przez cały świat, magnat, rzucający hojną dłońią w rzeszę ludzką niezliczone swoje dzieła, bezinteresowny do ostatecznych granic — był cichy, skromny, zażenowany własną wielkością. Zawsze chętnie usuwający się w cień, pomagał innym, na drodze życia walczącym, słowami zachęty i otuchy.

Raz jeden niezapomniane słowa wyrzekł do nas młodych: że nigdy się nie dowiemy, bo On tego wyrazić nie potrafi, jak bardzo nas kocha i jakieś mu bliscy! — I przyrzekliśmy wtedy Jemu i sobie, że nigdy i nic nie rozerwie tych więzów, nas łączących; że zawsze będziemy doń przychodzili radością i smutkiem się podzielić, — my, a kiedyś nasze żony i dzieci, jak do najlepszego, drogiego przyjaciela. Kochany, stary profesor płakał wtedy...

Tylko, że teraz aż na daleki cmentarz droga nam wypadła. Ale duch Jego zawsze wśród nas żyć będzie i nigdy pamięć o Nim świetlana nie osłabnie w sercach naszych.

Nie łopotąły żałobne proporce, nie płonęły złotym ogniem smolne pochodnie, gdyśmy Cię przez pełne zgiełku i życia ulice na wieczny odnieśli spoczynek, kołysząc miarowym krokiem na długi sen.

Za niezmierną zasługę dla Sztuki Polskiej, za wychowanie młodych dusz, za wielkie serce dla ludzi — Cześć nieśmiertelnej pamięci Twojej, Stanisławie Noakowski!

Z. K.





WACŁAW HUSARSKI

2)

## SZTUKA ROKOKA

Powyższe, paradoksalne nieco, cechy sztuki rokokowej z całą okazałością występują w architekturze monumentalnej, która, jak to było przed chwilą powiedziane, nie waha się przed najryzykowniejszymi połączeniami, przecięciami, przenikaniem i zrostami form, i która waży się nawet na efekty kinetyczne, zdające się przeczyć najzupełniej zasadom architektury. Stwierdzić należy, że staje ona do tych zapasów choreograficznych z zapasem mistrzostwa, o jakim nie myśleli, a może nawet nie chcieliby myśleć najbiedniejsi budowniczowie epok ubiegłych.

Kształtowanie plastyczne i przestrzenne, które pochłaniało cały niemal wysiłek architektów barokowych, staje się teraz prosto miłą igraszką, rodzajem rozrywki, popisowym rozwiązywaniem efektywnych łamigłówek. Dzięki najzupełniejszemu opanowaniu zagadnień konstrukcyjnych, dzięki niepojętemu dziś dla nas wyrobieniu wyobraźni przestrzennej i plastycznej, osiągają budowniczowie ówczesni, przy całej skłonności do komplikacji i przeładowania, tę zadziwiającą jednolitość ujęcia, obok której najświetniejsze gmachy renesansowe wydają się zbiorem mechanicznie zestawionych i mozolnie powiązanych fragmentów.

Jednolitość samej budowli nie jest zresztą dla architekta ówczesnego częściowym nawet wyczerpaniem zagadnienia. Epoka ta widzi zawsze przedmiot w jego nierozzerwalnym związku z otaczającą przestrzenią, z którą zrasta się w jednolity obraz, w jedną malarską całość. Celem wysiłku artystycznego nie jest też tu poszczególny obiekt, ale jego umieszczenie w przestrzeni. Wyobraźnia idzie przedewszystkiem w kierunku rozplanowania i ugrupowania kompleksu. Najświetniejsze efekty otrzymuje się w budowlach zamiejskich, gdzie można z niezawodząca nigdy pomysłowością wyzyskać, lub stworzyć sztucznie rozmaitość terenu, oraz z właściwym epoce poczuciem teatralnym użyć bloków architektonicznych i zieleni drzew, jako rodzaju kulis, celem wytworzenia ogólnej kompozycji, w której rolę nieposlednią odgrywają malarskie efekty światła, dali powietrznej i barwy.

Cóż dopiero mówić o samej budowli! „La gaya sciencia“ rokokowa pozwala zamieniać najbardziej złożone wnętrza w jednolitą całość, której poszczególne części łączą się, przeplatają, przenikają i stapiają, jak organy żywego indywiduum, co ma miejsce w kościołach, lub też, jeżeli chodzi o siedziby mieszkalne — zwłaszcza francuskie — tworząc rozkład jasny, wytworny i wygodny, jak przegródki toaletowego neseseru. Najbogatszy blok architektoniczny, najmocniej rozczłonkowana fasada staje się w rękach tych wirtuozów bryłą miękkiego wosku, którą bez wysiłku ugniatać

można i wyginać w nieprzewidziane i kapryśne kształty, czyniąc z nich jeden olbrzymi ornament.

Używa się też i nadużywa tych możliwości z czarującą swobodą, stanowiącą znamię epoki. Powstają tedy owe francuskie apartamenty, cuda intymności i wygody, zdobne i kokieteryjne, jak bombonierka. Powstają owe saloniki owalne — popisowe zaprzeczenia praw tektoniki — pozbawione podpór architektonicznych, pozbawione architektonicznych podziałów, pozbawione wszelkich załamań i wszelkich ostrych kątów przy zetknięciu się płaszczyzn. Z osobliwą starannością maskuje się zwłaszcza granice pomiędzy ścianą, a stropem. Nie jest to nawet właściwie podział, ale płynne przejście, zlanie się dwóch płaszczyzn zapomocą zaokrąglonej sferycznej powierzchni, a zręczność dekoratora wysila się, żeby ostatni ten nawet ślad połączenia ukryć pod splotami ornamentów sztukatorskich i malarskich. Widzimy tu tę samą dążność do połączenia ścian z ich nakryciem, którą wykazywała niegdyś architektura przekwitającego gotyku. To zacieranie granic między płaszczyznami, ograniczającymi wnętrze, zmierza między innymi do tego, żeby oko nie mogło zdać sobie sprawy z jego istotnych wymiarów, by powstawało złudzenie dali, które jest pasją tej architektury. Do tego samego celu dąży dekoracja ścian i sufitu. Podobnie również, jak za gotyku, chociaż przez użycie odmiennych całkowicie środków, ściana ta i sufit są tu rodzajem fikcji. Zamiast ich płaszczyzn, oko dostrzega płynną tylko i ruchliwą grę ornamentów, okien, otwartych na dal przestrzenną, luster, tworzących dali tej iluzję, i malowideł perspektywicznych, dających jej naśladowanie. Poza pierwiastkiem rozmaitości, bogactwa ornamentacyjnego, komplikacji, ruchu, występuje tu jeszcze malarski w zasadzie efekt iluzji przestrzennej.

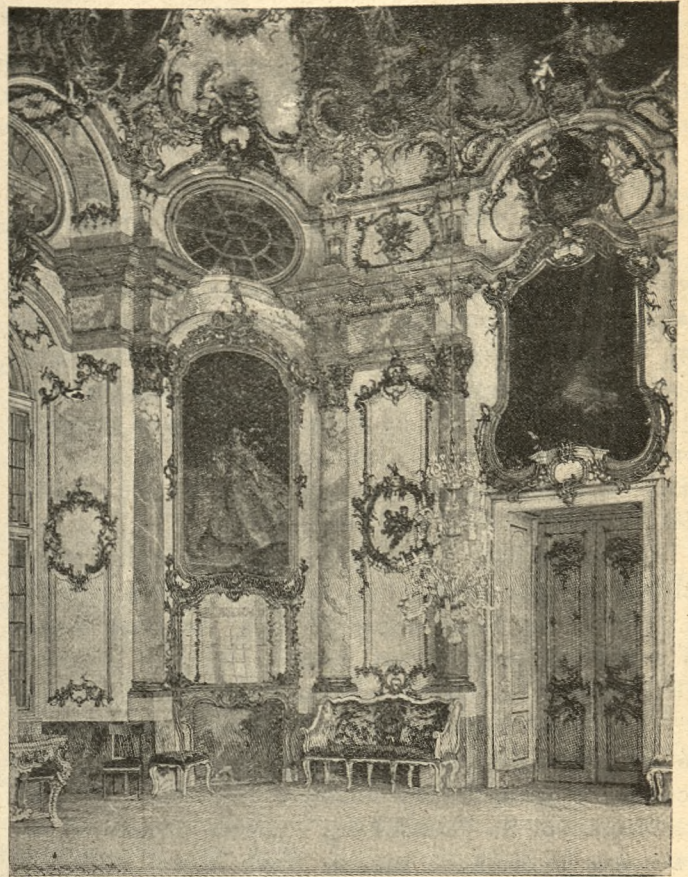
Ten ruch, ta iluzja przestrzeni, to rozplywanie się architektury w nieskończoność — nie przekracza jednak nigdy we Francji pewnych granic dekoracyjnej stylizacji, nie psuje logiki i jasności planu, nie posuwa się do złudzeń optycznych. Zwłaszcza w kształtowaniu murów zewnętrznych efekt ogranicza się tu co najwyżej do gry kolumn i pilastrów, do wypukłości półokrągłych, lub pół-ośmiobocznych ryzalitów, do dyskretnego wygięcia i załamania dachów, słowem — do środków czysto architektonicznych. Opętanie kinetyczne, tęsknota przestrzenna, zamiłowanie do ludzących zmysły efektów, do oszołomiającego komplikowania zjawisk optycznych — występuje w pełnej sile dopiero poza granicami Francji, która nie wyzbywa się nigdy całkowicie jasności łacińskiej i której czarujące rokoko zakwitło bądź co bądź na solidnym gruncie siedemnastowiecznej klasyki.



Nierównie dalej idą pod tym względem Niemcy, wywierający bardzo silny wpływ na budownictwo krajów północnych. Przejmują one cały skomplikowany aparat późno-barokowej architektury włoskiej, doprowadzając te i tak już krańcowe formy do ostatecznej przesady, wywodząc z nich ostateczne, paradoksalne konsekwencje, łącząc to wszystko z francuską dekoracją rokokową i sprowadzając triumf całkowitej dążności, które od lat stu z górą walczyły z hamującym i uspokajającym działaniem tradycji klasycyzmu.

Tutaj to, w Niemczech, powstają owe wnętrza pałacowe bez właściwego ciała architektonicznego, złożone wyłącznie z iluzji okien, luster, sztukaterji i malowideł; owe fasady, na których niema nic, poza szkieletem i dekoracją, poza szkłem, rzeźbą ornamentacyjną, asymetrycznie wykreślonym szczytowym kartuszem i falistymi wygięciami balkonowych balustrad.

Tutaj to powstają owe kościoły, których wygięte ściany zdają się falować, jak miękkie draperje, których wieże uwieńczone są hełmami, powyginaniami, jak chińskie imbryki, lub tureckie zawoje — Wschód jest bowiem jedną z namiętności tej epoki, a pomieszczenie rodzajów artystycznych — jej ulubioną zabawą. Cechy te odziedziczy po niej zczasem romantyzm.



Sala balowa w zamku w Bruchsal

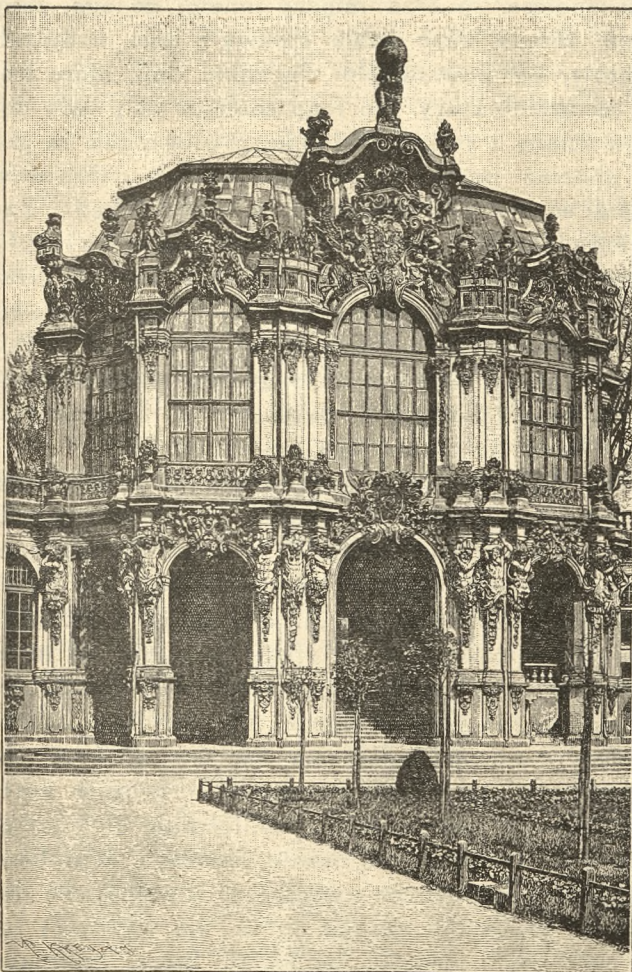
Jeden kierunek falowania ściany jest przytem niewystarczający. Przedewszystkiem tedy górna kondygnacja ma zazwyczaj wygięcie inne, niż dolna; ponadto, każda z tych kondygnacji dzieli się jeszcze kolumnami, lub półkolumnami na części, a każda z tych części przedstawia inną kombinację wklęsłości i wypukłości.

Ta rozplanowana powierzchnia ściany rozszczipiona jest w dodatku na kilka warstw, ukazując grę cofających się głębiej lub płycej wklęsłości i nisz, występujących z różną wypukłością pilastrów, półkolumn i kolumn, ustawionych pojedynczo lub grupami, najczęściej zaś przecinających się i przenikających nawzajem. Ponad tym oszalałym spletem form architektonicznych karkołomnie piętrzy się wreszcie łamana, gięta, na wewnątrz i na zewnątrz zwijający się szczyt, niejednokrotnie uwieńczony w dodatku posągami o historycznej gestykulacji.

Należy zaznaczyć raz jeszcze, że ta niepowstrzymana dążność do komplikowania form nie wyklucza jednak jednolitości, że wszystkie te szczegóły rozwijają się z jednej bryły, a poszczególne pierwiastki wyrastają z niej w sposób niejako organiczny; wydaje się, że oddzielenie lub usunięcie któregośkolwiek z nich zraniłoby poprostu całość.

Urozmaicenie fasad, zwłaszcza kościelnych, jest jednak niczem wobec bogactwa i ruchliwości wnętrza rokokowych.

(c. d. n.)



Główny pawilon zamku królewskiego w Dreźnie



## Z TEATRÓW

TEATR POLSKI

„PRZEDMIEŚCIE“ (Periferie) — dramat *Franciszka Langer*. 3 akty, scen 18. Przekład z czeskiego *A. B. Dostala*. Prolog, interludja i piosenki *B. Witta*. Muzyka *J. Maklakiewicza*. Dekoracje *St. Śliwińskiego* Reżyserja *L. S. Schillera*.

Kolizja z kodeksem karnym, a kolizja z własnym sumieniem nie zawsze się ze sobą pokrywają, mimo, że t. zw. litera prawa wyrasta z podłoża życia. To, nie nowe zresztą, zagadnienie emocjonuje dziś tem silniej, że po wstrząsie wojennym — formy życia i współżycia uległy pewnym zmianom. Moralna zasada życia i współżycia chyboce się dziś, wytrącona z równowagi, i dlatego motyw kryminalistyczny w literaturze jest tak bardzo współczesny.

Traktuje się ten motyw rozmaicie: jako sensację, jako realistyczną kopję życia, jako zagadnienie społeczne i t. d. Kryminalny wrzątek krwi i nerwów paruje dowolnie, ale zawsze jeszcze oszołamia.

Poeta czeski Franciszek Langer, którego „Przedmieście“ wystawił teraz Teatr Polski, — pragnął w swojej sztuce wykazać, że zbrodnia — jakakolwiek jest i z jakichkolwiek wynika pobudek — domaga się kary sama przez się. Trybunałem jej jest sumienie, które nie wymierza wprawdzie kary, ale nie może być tajemnym, ciemnym schowkiem dla zbrodni. Wyrzuca ją najaw, jak wulkan wyrzuca rozpaloną lawę.

Bohater „Przedmieścia“ o tyle więc różni się od swoich licznych krewniaków w literaturze, że nie walczy ze swoją wolą samozachowawczą. Przeciwnie: chce wyjawić swój czyn, ale wydarzenia tak się dziwnie ułożyły, że choć woła, krzyczy, wyznaje, przysięga: — Ja zabiłem!.. — nikt nie daje mu wiary.

Historja tej zbrodni jest następująca: Franek wraca z więzienia, gdzie przesiedział rok niewinnie, nie chcąc wsypać swoich kamratów. Przychodzi do domu, w którym mieszkał przedtem, ale tu zastaje już innego lokatora — dziewczynę uliczną. Pogadali, poskarżyli się sobie na swoją dolę i pokochali się. Franek, który był z zawodu tancerzem kabaretowym, marzy o tem, żeby z Andzią występować w dancingach, ale mili koleżkowie sprzedali jego smoking i lakiery i teraz trzeba czekać zmiłowania losu, aby znowu zdobyć ten niezbędny uniform. Tymczasem Andzia musi uprawiać swój fach. Gdy pewnego wieczora Franek zastaje u niej starszego pana, rozpoczyna z nim bójkę, i w afekcie zabija go odłamkiem drzewa. Sytuacja przedstawia się fatalnie. Trzeba trupa uprzątnąć, trzeba zatrzeć ślad zbrodni, a przede wszystkim trzeba sprawę tak pokierować, żeby dziewczyna nie była pociągnięta do odpowiedzialności. Trupa wynosi Franek na plecach i układa go na budowie tak, aby przypuszczano, że potknął się o belki i uderzył się w głowę. Projekt się udaje, a Franek dla lepszego zatarcia śladów zbrodni sam wzywa policję. Okazuje się, że zabity jest to znany w mieście budowniczy Urban, indywidualum

o złej opinji, pijak, hulaka, lowelas. Nikt go nie żałuje, a żona zabitego, poniewierana i gnębiona, odzyskuje swą wolność i człowieczeństwo. Franek otrzymuje od niej w nagrodę, jako „znalezne“, wszystkie ubrania po zmarłym. Jest tam i smoking i lakiery. Odtąd szczęście sprzyja zabójcy. Dostaje engagement w kabarecie i oboje z Andzią mają powodzenie. Ale z przymusu milczenia wytwarza się powoli egzaltowane pożądanie kary: — „Chcę sprawiedliwości!“ I tu jest błąd w rozumowaniu autora. Bo ukaranie Franka — nie byłoby sprawiedliwością. Tak zresztą wnioskowałby każdy sąd i każdy sędzia, sądzący według suchej litery prawa, cóż dopiero ludzie, którzy poznali pobudki czynu! Wokół tego pojęcia prostego i ludzkiego kręci się błędne i zagmatwane wnioski autora. Do pomocy wziął sobie w tej zawilej sprawie „fachowca“, byłego sędziego, trochę manjaka i wykołajeńca, który za szklaneczkę rumu udziela porad prawnych ludności przedmieścia. Ów sędzia musiał porzucić swój urząd, bo nie mógł się pogodzić z bezwzględnością litery prawa. Marzył przecież o sprawiedliwości zindywidualizowanej! Nie mamy nic przeciw tak idealnie pojętym obowiązkom sędziowskim i dlatego z prawdziwą niecierpliwością oczekujemy chwili, w której Franek, błędząc od Anasza do Kaifasza, dojdzie wreszcie do ławeczki przedmiejskiego prawnika, aby mu wyjawić swój czyn. Przewidujemy, że tak skończy się męka Franka, bo idealny sędzia znajdzie właśnie to indywidualnie zastosowane prawo, które albo zwolni od winy, albo naznaczy odpowiednią ekspiację. Tymczasem jednak „porada prawna“ brzmi: „Nie chcą ci uwierzyć, więc zabij jeszcze jednego człowieka, ale tak, by nie ulegało wątpliwości, że to uczyniłeś ty, własnoręcznie“.

Franek chodzi z majchrem w kieszeni i szuka obiektu nowej zbrodni. Oczywiście — nie potrafi zabić, bo nie jest przecież zawodowym bandytą. Nie koniec jednak nieprawdopodobieństwom, bo oto kochająca dziewczyna siebie podsuwa na ofiarę. Musimy patrzeć na ohydny scenę duszenia, na scenę, którą należałoby wygwizdać!

Langer jest niewątpliwie bardzo zdolnym pisarzem, ale jest także barbarzyńcą, który ze swojej sztuki uczynił widowisko niemożliwe do zniesienia.

Inscenizacja Schillera wyaskrawiła każdy niakt autora, podnosząc go do wyżyn misterjalnych. Interesowało jedynie świetne zastosowanie sceny rotacyjnej i piękne dekoracje Śliwińskiego, Wkładki B. Witta, ilustrowane muzyką miasta, wywoływały często efekty humorystyczne.

Aktorzy grali dobrze. Maszyński, Stanisławski, Dominiak, Daczyński, stworzyli typy świetne. Niestety, musieli się rozplwać i zatracać w konflikcie między realizmem, a widowiskowością reżyserji. P. Panczewiczowa jest, zarówno grą jak i warunkami zewnętrzными, za okazała do roli dziewczyny z przedmieścia.

H. N.



## NASZA MÓWNIKA

Redakcja „Bluszczu“ wprowadza w piśmie od dnia dzisiejszego nowy dział pod nazwą „Nasza Mównica“.

Pragnęlibyśmy, aby w dziale tym Czytelniczki „Bluszczu“ wypowiadały swoje opinie i postulaty w różnych sprawach. Będzie to rubryka głosu, udzielonego każdej kobiecie, interesującej się sprawami społecznymi i pracą obywatelską.

Odrodzenie Polski, epokowy fakt, który danem było przeżyć współczesnemu pokoleniu, przemienił radośnie od podstaw do szczytów całe istnienie narodu. Rozszerzył horyzont naszych pojęć i zadań, stworzył kompleks nowych praw—ale i wielkich, poważnych obowiązków, którym społeczeństwo musi podołać.

To też rozwinęła się u nas od lat dziesięciu praca we wszystkich kierunkach. Na leżących dotychczas odłogiem polach oświaty, kultury, higieny, gospodarstwa—wszędzie znać wzmożony wysiłek odrodzenia. Do pracy tej stanąć powinien każdy, gdyż pole jej jest olbrzymie. W ciągu dziesięciu lat naszej państwowości zrobiliśmy wiele, ale o ileż więcej pozostaje nam do zrobienia!

Przy spełnianiu tych zadań nie może zabraknąć kobiety polskiej—należy się jej, obok praw, jakie uzyskała, poważna część pracy.

Możemy z dumą stwierdzić, że kobiety zaznały się już bardzo wydatnie w tej odrodzonej działalności. Chodzi jednak o to, aby nietylko wybitne, z a w o d o w e, niejako, działaczki, ale ogół kobiet zabrał się do czynu, rozumiejąc, że ważną tu będzie każda działalność, pozornie najskromniejsza.

Pracy tej niekoniecznie poświęcać trzeba cały swój czas, zaniedbując dla służby społecznej obowiązki rodzinne i domowe.

Niechaj tylko każda kobieta, wybrawszy najodpowiedniejsze dla siebie zadanie, poświęci mu kilka godzin tygodniowo, godzinę dziennie! Ale niech prowadzi je stale. Godzina dziennie dla dobra społecznego, tylko tyle! W tej godzinie, poświęconej pro publico bono, przekonać się trzeba, co jest najpilniejszego i najważniejszego do przeprowadzenia w naszym otoczeniu.

Jak przedstawiają się warunki sanitarne miejscowości: czy oddychamy tam zdrowym powietrzem, czy też połykamy kurz z zapyłonych ulic i miazmaty źle utrzymanych podwórz i mieszkań. Czy mamy wogóle gdzie mieszkać, i jak można pracować nad zaradzeniem tej najniebezpieczniejszej z naszych bolączek codziennych. Co dałoby się zrobić dla rozwinięcia przemysłu i handlu, produkcji gospodarczej. Czyż nie dziwne i fatalne jest, że w kraju, tak wybitnie gospodarczym, jak Polska, mamy tak drogie i marne owoce?! Że, pomimo wyjątkowych, prawdziwie z Bożej

łaski, zdolności artystycznych naszego ludu, działy takie, jak kilimkarstwo i zdobnictwo ludowe, budzące, o ile się gdzieś przypadkowo ukażą, zachwyty zagranicą—rozwijają się ospale, zamiast stać się złotą żyłą eksportu, sprowadzającą miliony do kraju?!

To wszystko należy zbadać, przemyśleć i zacząć pracę nad poprawą i przemianą.

Poświęcając temu zadaniu codziennie godzinę, zrobić można przez dłuższy czas bardzo wiele, nie naruszając w niczem swych obowiązków domowych i zawodowych. Praca taka, i to zarówno czysto społeczna, jak i społeczno-gospodarcza, jeśli stanie do niej cały ogół, przemienić może w lat kilkanaście oblicze kraju: zbudować go czystymi, higienicznymi domami, pokryć siecią ogrodów, dać każdemu dziecku szkołę i każdemu pracownikowi czyste odzienie, wypłenić epidemie u ludzi i zwierząt oraz puścić w ruch tysiące warsztatów, w których najubożsi znajdą pracę i dobrobyt.

Do pracy tej pragniemy zachęcić najgoręcej nasze Czytelniczki, dopomóc do stworzenia jaknajpożyśniejszych jej warunków, służyć radą i informacją, a jednocześnie dać im możliwość swobodnego wypowiedzenia się między sobą, wzajemnego informowania się i przedyskutowania każdej kwestji.

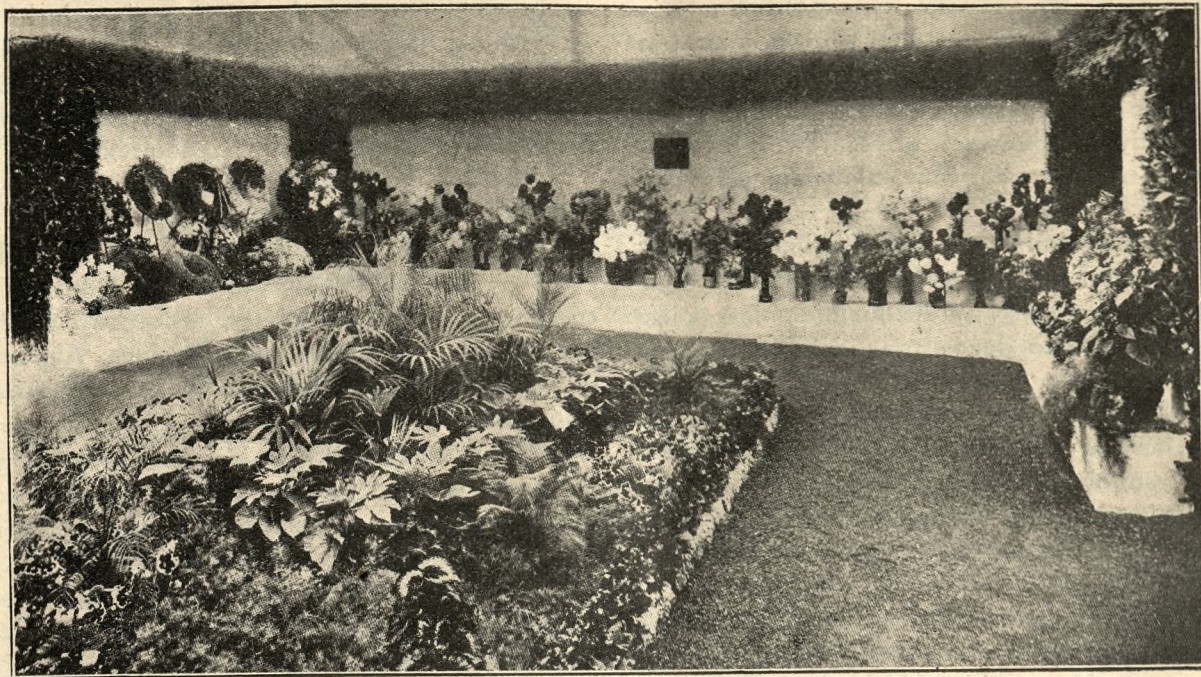
Jest to sprawa bardzo ważna: wymiana myśli, informacji, doświadczenia pomiędzy różnymi okolicami kraju, między kobietami z różnych środowisk—dopomóż do wzajemnego zbliżenia i rzuci jasne, wszechstronne światło na warunki życia i pracę w każdej miejscowości—jak jest, co się robi i co jest do dokonania. A obok spraw wielkiego, ogólnego znaczenia istnieje i cały szereg innych, w których zabrać głos staje się często potrzebą intelektualną. Ciekawa książka przeczytana, aktualne sprawy w sztuce, literaturze, w życiu codziennym—następczą chęć wypowiedzenia się i zasięgnięcia opinii drugich. Sprawy wychowawcze, tak ważne dla każdej matki, dla wszystkich nauczycielek, wprost proszą się o najobszerniejsze dyskusje, tak samo kwestje pracy zawodowej.

Wreszcie różnorodne zagadnienia życia rodzinnego, towarzyskiego, pracy domowej i gospodarczej, przedstawiają szerokie pole do wzajemnej wymiany myśli, doświadczeń i ulepszeń.

Wszystkim tym sprawom służyć będzie „Nasza Mównica“. Mamy nadzieję, że zjednoczy ona Czytelniczki „Bluszczu“, tworząc węzły sympatji i zaufania, na podłożu harmonijnej pracy, w dążeniu do jaknajwyższego i najintensywniejszego rozwoju rodziny, społeczeństwa i kraju.

Listy, przeznaczone do tego nowego działu pisma, prosimy adresować do redakcji „Bluszczu“, z dodatkiem na kopercie napisu: do „Mównicy“.





Kwiaty w grupie ogrodnictwa

## S A F F A

2)

Grupa II—Rolnictwo i ogrodnictwo—kosztowała niemało pracy te kobiety, które w niej brały udział. Od jak dawna trzeba było sadzić i pielęgnować warzywa i kwiaty, aby na miejscu wyrosły! na ile miesięcy naprzód trzeba było szykować przetwory i konserwy, aby ich tyle i takich móc pokazać, a nie brakło niczego!

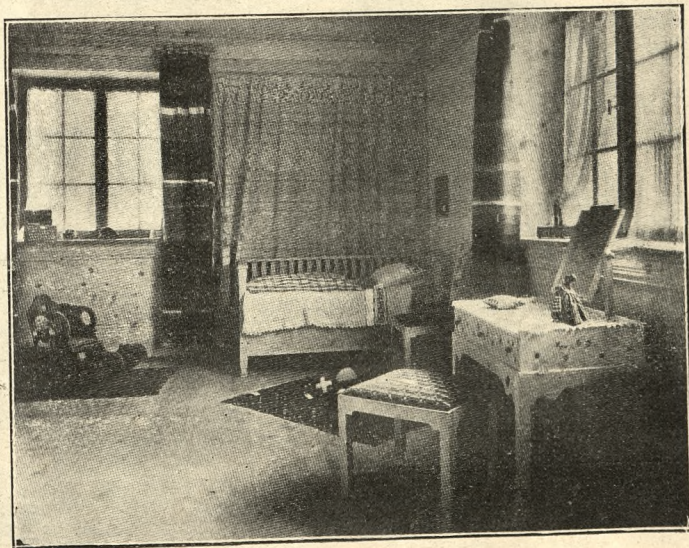
Obok kwiatów i warzyw, wypielęgowanych na terenie wystawy, Związki kobiet-wieśniaczek z poszczególnych kantonów pokazały rezultaty swojej pracy na roli,—więc jarzyny i owoce, przetwory i konserwy, produkcję i przeróbkę mleka, hodowlę winogron,

nasion i lnu oraz hodowlę jedwabników. Z dziedziny gospodarstwa podwórzowego wystawiono drób i gołębie, oraz wzorowo urządzoną chlewnię.

Ogólną uwagę zwracały oddzielne domki, należące do tej grupy: śpichlerz kantonu Ementhal, żywcem przeniesiony z wioski szwajcarskiej, pełen bogactw gospodarskich. Ziarna i zapasy zimowe, konserwy, suszone owoce, wędliny i sery, a obok, w szafach, odświętne ubrania, i zapasy bielizny, i sztuki płótna własnej roboty, gromadzone dla córek na wyprawę. Podobno taki i tak zaopatrzone śpichlerz ma w Szwajcarji każda dobra gospodyni. Dalej domek wiejski kan-



Owoce pracy Stowarzyszenia wieśniaczek z Moudon



Wnętrze izby wzorowego domu wiejskiego



tonu Bazylei z niewielkim, ale ślicznym ogródkiem kwiatowym, warzywnym i wzorowy dom wiejski, wystawiony przez Związek wieśniaczek szwajcarskich, — prawdziwe królestwo nowoczesnej chłopki, gdzie obok poszanowania tradycji i dawnych obyczajów, nie pominięto żadnej z nowych zdobyczy, ułatwiających życie codzienne.

I w tej grupie szkoły zawodowe—rolnicze i ogrodnicze—zajął jedno z pierwszych miejsc, i tutaj sposób pokazanie ich pracy był indywidualnie pojęty, a jest ich w Szwajcarii bardzo dużo i praca ich niewątpliwie przynosi owoce.

Grupa III—Rzemiosła—objęła 35 różnych rzemiosł, uprawianych przez kobiety. Na pierwszy plan naturalnie, wysunęły się zajęcia takie, jak: krawieczyna, bielizniarstwo, kapelusznictwo it.p., i te urządziły pokaz, imponujący ilością i jakością wystawionych przedmiotów.

W dziale robót ręcznych, obok rzeczy przeciętnych, pokazano pomysłowe i artystycznie wykonane przedmioty, a przede wszystkim hafty kościelne, wymagające syzyfowej pracy i wielkiej umiejętności wykonania. Kwaciarstwo, pończosznictwo, szewstwo, złotnictwo, fotografja i wiele innych też wzięły udział w wystawie.

W drugiej części pawilonu przekazano szereg warsztatów przy pracy, więc przede wszystkim pracownię krawiecką z pokojem do przymierzania; pracownię kapeluszy i kwiatów, a obok wyrób pończoch i pracownię abażurów; malowanie porcelany, którą na miejscu wypalano, i szereg innych, przeniesionych żywcem na wystawę z codziennego, szarego życia. Tablice porównawcze, bardzo umiejętnie opracowane, wykazywały korzyści, wypływające z należenia do organizacji za-

wodowych i nawoływały do tworzenia związków, a szkoły rzemiosł dały programy nauk i prace egzaminacyjne.

Grupa IV—Sztuki piękne i sztuka stosowana—to wystawa, urządzona przez Szwajcarskie Stowarzyszenie Malarek i Rzeźbiarek.

Rzeźby w marmurze, gipsie i drzewie, obrazy i portrety o poziomie naogół dość wysokim, bez wybitnych jednak indywidualności, zapełniały kilka sal. Obok — sztuka stosowana, naogół bardzo nowa, ale zupełnie odrębna od naszej; szczęśliwa w niektórych przejawach, — w innych nawet rażąca. Ale uwagę moją zwrócił przede wszystkim fakt, że wystawa ta była dziesiątym pokazem Szwajcarskiego Stowarzyszenia Malarek i Rzeźbiarek, Związku, do którego należą kobiety-artystki różnych kierunków i różnych poglądów, i że Związek ten egzystuje od szeregu lat i ma dużo członkiń, skoro prace ich zapełniły kilka sal. Czyżby nasz artystyczny świat kobiecy nie doceniał korzyści zrzeszania się? czyżby w Polsce kobiet-malarek i rzeźbiarek było mniej, niż w Szwajcarii?!

Grupa V—Przemysł i chałupnictwo—zajęła olbrzymi pawilon, tętniący żywą pracą. Stuk różnorodnych maszyn dawał złudzenie, że weszło się do jakiejś wielkiej fabryki.

I rzeczywiście, skomplikowany w formie potwór stalowy spletał tysiące nitok, zręcznie poddawanych rękami kobiecemi, a z przeciwnej strony wysuwał się majestatycznie gotowy pas mięsistego jedwabiu.

Inne maszyny wyrabiały płótno i batyst, inne znowu haftowały gotowe już tkaniny — dalej farbowano materiały i drukowano na nich barwne desenie.

Wszystkie warsztaty przemysłowe, zatrudniające kobiety, przeniosły tu część swej pracy:—fabrykacja obuwia, kapeluszy, parasoli, pudełek tekturowych, nawet zegarków, a obok fabryka czekolady i cukierków—dawały żywy obraz codziennej pracy dziesiątków tysięcy kobiet.

A wśród tych kobiet, zatrudnionych w przemyśle, niewielki odsetek zaledwie, jak widać z tablic statystycznych, zajmuje wyższe stanowiska: większość — to szary tłum robotniczy, to drobne kółeczka i sprężynki, bez których jednak wielka machina przemysłu nie ruszyłaby z miejsca.

Warunki ich pracy i wysokość zarobków—w porównaniu z innymi zawodami, z pracą mężczyzn i pracą w innych państwach — omawiały specjalne tablice porównawcze, i tu był materiał niewyczerpany dla badacza tej dziedziny.

Grupa VI—Maszyny i wynalazki, ułatwiające pracę zawodową i gospodarską kobiet—



Spichlerz kantonu Ementhal



choć licznie obesłana, nie dawała wiele naprawę nowych rzeczy. Do niej należał pawilon gazu i pawilon elektryczności, których zastosowanie w nowoczesnym gospodarstwie każdemu prawie jest znane. Tu pokazano różne odkurzacze, maszyny do prania itp., obok szeregu drobiazgów, — nożyków, maszynek, past, klejów i innych, przeważnie znanych. Wynalazki i ułatwienia, dotyczące maszyn fabrycznych i masowej produkcji, mogły zainteresować fachowca, ale dla laika nie były dostatecznie zrozumiałe.

M. P.

(dok. nast.)

## LUDZIE ŻŁE WYCHOWANI

Czy może być coś przykrzejszego, jak obcowanie z ludźmi źle wychowanymi? Wyobraźmy sobie dom, napełniony ciągłą kłótnią, w którym nikt drugiemu nie ustąpi, nic nie ułatwi, najdrobniejszej nie wyświadczy przysługi, — gdzie wszyscy naraz mówią, siłąc się przekrzyknąć drugich, dobierając przykrych wyrażań i uwłaczających epitetów, — jednym słowem — sobie i drugim stwarzają istne piekło Dantejskie. A przecież ludzie ci nie są gorsi od innych, w których towarzystwie nieraz mile czas przechodzi: są tylko źle wychowani. Wychowanie zastąpić mogą — rzadko, niestety, spotykane — wrodzone zalety charakteru, jak: dobroć, — nie ta, na pokaz i wywyższanie siebie, ale ta szczerą, serdeczną, prawdziwą, która jest, bo być musi; takt — ten szósty zmysł, ostrzegający nas przed tem, czego nie można zrobić, lub powiedzieć; delikatność, subtelność i dobry smak, świadczący o wielkiej wartości serca i umysłu danej osoby. Jak wspomniałam powyżej, nie każdy jest niemni obdarzony, ale każdy może osiąść zasady, według których postępując, nauczy się obcować z ludźmi, zwalczać złe skłonności, panować nad sobą; zbliży się do jednego poziomu, bo dobre wychowanie — to ubity szlak, na którym spotykają się ludzie, posiadający je, niezależnie od urodzenia, wieku i stanowiska.

Zasadniczymi walorami dobrego wychowania są: uprzejmość, prostota, dyskrecja, skromność, zrównoważenie i słowność.

Największą z tych zalet jest niezaprzeczenie uprzejmość — chociaż o każdej można powiedzieć, że jest najważniejsza: posiadanie jednej bez innych nie da kompletnego rezultatu i nie zrobi z nas człowieka dobrze wychowanego. Obowiązkiem rodziców jest ćwiczyć dzieci w grzeczności i życzliwości we wzajemnych stosunkach; tłumaczyć im, jak wiele zyskują, zdobywając się na uprzejmość. Uprzejmość — ta „grzeczność bogów” — jest połączeniem dobroci i życzliwości z grzecznością; człowiek, obdarzony tą zaletą, jest wszędzie miłym i pożądanym; otwiera mu ona wszystkie drzwi i serca; — kiedy przeciwnie: niegrzeczność odpycha i stwarza opinię, trudną do zwał-

czenia, nadającą złą intencję każdemu postępkowi. A przecież uprzejmość nic nie kosztuje i przy odrobienie pamięci i dobrej woli można ją w sobie wyrobić. Cóż bowiem łatwiejszego, jak grzeczne pozdrowienie, miłe odezwanie się, uprzejmy uśmiech lub ukłon w stosunku z ludźmi, a jak wiele zyskać na tem można! Brak uprzejmości nietylko utrudnia życie, ale jest dowodem niskiego poziomu człowieka.

Prostota w obejściu zasadza się na naturalności i szczerości; dalekie bowiem są czasy, kiedy popłacało udawanie tego, czem się nie jest, strojenie się w cudze piórka, chełpienie się urodzeniem i parantelą. Wojna nauczyła nas, że tylko własna wartość i osobiste zasługi coś znaczą. Jak wewnątrz cenią — jest szczerłość, tak zewnątrz prostota. Osoby przesadne, nienaturalne, zmanjerowane — wzbudzają śmiech i politowanie, a granie roli tego, kim się nie jest — ośmiesza i naraża na kpiny. Brak prostoty w zachowaniu i ubraniu, przesadny śmiech, wymuszone ruchy, zbytnia unizoność — przykre robią wrażenie i nietylko ośmieszają człowieka, ale narażają go na miano fałszywego. Chcąc się pozbyć wady nienaturalności, trzeba starać się niczem nie zwracać na siebie uwagi, nie imponować nikomu swoją osobą, mówić tylko prawdę, bez blagi i przechwałek, bo inaczej, zamiast podziwu, wzbudzimy wręcz przeciwne wrażenie.

Dyskrecję trudno określić, a jednak jest to jedna z najcenniejszych zalet dobrze wychowanego człowieka. Uszanowanie cudzej tajemnicy pospolicie nazywamy dyskrecją; — nie jest to jednak kompletne znaczenie tego wyrazu. Niepowtarzanie, nieprzerabianie, nietłumaczenie złośliwie zasłyszanych wiadomości, nie plotkowanie poprostu, — to także dyskrecja. Powinniśmy przyjąć za zasadę, że jeśli winien jest ten, co mówi, — stokroć winniejszym jest powtarzający, — bo, chcąc pogrzebać plotkę, najlepiej nie rozpowiadać usłyszanych, najczęściej kłamliwych bzdurstw i wieści, w których tak bardzo u nas się lubują. Niedyskrecją jest również wdzieranie się w cudze tajemnice, sondowanie cudzych uczuć, wyciąganie ludzi na słówka. Człowiek dobrze wychowany słuca tylko tego, co mu chcą powiedzieć; widzi jedynie to, co bez niedelikatności, ani wścibstwa zobaczyć może; odczuje, kiedy jego odezwanie się lub obecność są pożądane, a kiedy zbyt; kiedy rozmowę trzeba przerwać, albo sprowadzić na inne tory; umie powściągnąć swoją ciekawość i nigdy nie zrobi użytku z wiadomości, w którą wtajemniczył go przypadek; nie podsłuchuje rozmów, nie czyta cudzych listów. Bezcennym darem towarzyskim — takt — przeczuje, kiedy powinien się usunąć; nie zaostri swoim wmieszanym nieporozumienia rodzinnego, nie zobaczy tego, czego nie powinien.

Dyskrecja i takt bywają czasem wrodzone; częściej — trzeba je zdobywać i wyrabiać w sobie ustawicznym trzymaniem języka na wodzy i nie stawia-



niem na pierwszym planie swojej osoby, jako wszędzie i zawsze pożądanej. Od tego uchroni nas **s k r o m n o ś ć**, która również jest jedną z zasadniczych cech, coraz radszych, niestety, dobrze wychowanego człowieka. Bojaźliwość, niepewność siebie, a temsamem nieśmiałość i niedocenywanie swojej wartości, cechujące ludzi, wyrosłych z dzieci „zahukanych”, prowadzonych systemem bezwzględnej posłuszeństwa, nie uznającego okoliczności łagodzących, — łamię u delikatniejszych natur indywidualność i inicjatywę. System ten jest równie szkodliwy, jak dzisiejszy kierunek swobody i lekceważenie względem starszych. Tak jak z tamtych wyrastają ludzie niedołążni, tak z dzieci, zbyt pewnych siebie, przyzwyczajonych do ciągłego podziwiania, — nie wyrosną nigdy ludzie dobrze wychowani. Z nieznośną arogancją i zarozumiałością zawsze siebie na pierwszy plan wysuwać będą, popełniając z tej przyczyny mnóstwo niedelikatności i brzydkich nietaktów, a wieczne „ja”, „u mnie”, „dla mnie” — zrobią z nich wkońcu postrach towarzyski.

Zrównoważenie i opanowanie siebie stanowią jedną z najdotądniejszych cech dobrze wychowanego człowieka, który, szanując swoje i cudze uczucia, chowa je na dzień serca, nie rozdrabnia publikowaniem, nie zamęcza innych opowiadaniem o swoich kłopotach i nieszczęściach. Kto ma takie przyczyny przygnębienia i smutku, że nie jest w stanie panować nad sobą — niech unika ludzi, dopóki się nie uspokoi, — nie zatruwając im spokoju i chwil, w których zbierają się dla odpoczynku i rozrywki. Afiszowanie i produkowanie przy każdej sposobności swoich łez i żalu, po największej nawet stracie, nie tylko nie wzbudza współczucia, ale zniecierpliwienie i niesmak. Taksamo w chwilach podniecenia gwałtownym uczuciem nie trzeba się odzywać, dopóki się nie ochłonie, bo najczęściej powiemy wtedy coś, czego następnie nieraz gorzko żałujemy — albo zrobimy nieopatrznymi wyrazami krzywdę, często nie do powetowania. Nie wolno także człowiekowi dobrze wychowanemu robić różnicy w zachowaniu między ludźmi mniej lub więcej dla nas sympatycznymi, dlatego, że się różnią od nas czy to przekonaniami politycznymi, majątkiem, czy też stanowiskiem. Być równym dla wszystkich — to bardzo cenna i rzadka zaleta towarzyska: nie każdy osiągnąć ją po rafi, nie każdy zdobędzie się na tak wysoki dowód kultury duchowej i towarzyskiej. Człowiek dobrze wychowany potrafi, nie robiąc pozornie różnicy, zaznaczyć swoje mniej lub więcej serdeczne uczucia, nie zasługując przez to na miano fałszywego,

Nie mniej ważną od poprzedniej cechy człowieka dobrze wychowanego jest słowność i punktualność. Kto chce, aby mu ufano i liczono się z nim, musi zachować drobiazgową akurację w dotrzymywaniu przyrzeczeń i wypełnianiu zobowiązań; zwłaszcza w kwestjach materialnych nieakurację

stawia nas w rzędzie ludzi nieuczciwych i niehonorowych: naraża tych, którzy nam zaufali, na szkody i straty, zabija do nas zaufanie, i nadaje nam miano człowieka niesłownego i niesolidnego.

Punktualność, ogólnie lekceważona, należy także do słowności. Gdyby każdy swój i cudzy czas szanował, nie umawiałby się napróżno, nie robił projektów, których nie ma zamiaru wykonać, nie kazał godzinami czekać na siebie. Przy staraniu i dobrej woli można wyrobić w sobie punktualność, czego dowodem — szkoła i służba wojskowa. Prawda, że tam za uchybienie punktualności — karzą; ale jeśli z obawy można ją osiągnąć, — dlaczego nie miałby zrobić się punktualnym człowiekiem kulturalny, oceniający dokładnie znaczenie tej wielkiej zalety!? Trzeba tylko wyrobić w sobie większe poczucie obowiązkowości i pamiętać zawsze, że z jednej strony „czas to pieniądz”, a z drugiej — nie uchodzi dobrze wychowanemu człowiekowi kazać czekać na siebie. J. S.

## BUDŻET TUALETOWY

Utalentowana literatka i publicystka p. M. H. Szpyrkówna, w jednym ze swych ciekawych feljetonów pod tytułem „My i One” poruszyła jedno z najdokuczliwszych zagadnień życia kobiety współczesnej, mianowicie: rozpaczliwe miotanie się w zakresie szczupłego budżetu, w usiłowaniu zaspokojenia elementarnych potrzeb estetyki i elegancji. Zagadnienie, przedstawione przezemnie w tak zawiłych słowach, w rzeczywistości jest jeszcze bardziej zawiłe.

Bo wchodzi tu w grę nie tylko wrodzona kobiecie chęć podobania się i mniej lub więcej uświadomiony instynkt kokieteryjny, ale i słuszne, niestety, przeświadczenie, że kobiecie, która przestała młodo i elegancko wyglądać, coraz trudniej jest znaleźć pracę. To już nie dawny jarmark próżności, — to kwestja walki o byt. Wytwarza się sytuacja absurda: aby móc zarabiać, kobieta jest zmuszona wydawać lwia część zarobku na ubranie, z wielką krzywdą odżywiania, komfortu i higieny, co znowu nie może nie odbić się jaknajgorzej na zdrowiu, a co zatem idzie, i na wyglądzie. Powstaje błędne koło, łańcuch daremnych wysiłków, — w rezultacie zszargane zdrowie, zdarte nerwy, przedwczesna starość, niezabezpieczona ani odłożonymi oszczędnościami, ani wysłużoną emeryturą.

Niewesołe, a niestety, prawdziwe! Aby zaradzić złemu, p. M. H. Szpyrkówna doradza kobietom jaknajdalej idącą samowystarczalność. Za przykład stawia amerykanki. Podobno amerykanka „sama szyje swoją bieliznę niegorzej, niż każdy magazyn. Kupi krepdeszyny, filetów, kwiatów, ażurów i ozdóbek; kupi liworu i wzorów, kupi wstążeczek i przejrzy w najlepszych sklepach żurnale i modele. W czasach szkolnych przejdzie kurs kroju, szycia i porządków. U siebie w domu, czy w pensjonacie, będzie miała



w suterenie pralnie i tam dwa razy na tydzień sama, w ładnym gumowym fartuszku i w czepeczku, żeby się fryzura nie zdemolowała — przepierze swoją bieliznę osobistą.

Jakkolwiek zgadzam się w zupełności, iż byłoby ze wszech miar pożądanem, aby kurs kroju, szycia i cerowania wchodził w zakres średniego wykształcenia i to nietylko kobiecego, ale i męskiego (dość już mamy tych mężów bezradnych wobec dziurawej skarpetki, lub oderwanego guzika!), ale z tą całkowitą samowystarczalnością, to sprawa nie jest znowu taka prosta. Nie dosyć jest ukończyć kurs kroju, lub modniarstwa, aby uszyć dobrze leżącą suknię, lub upiąć szykownie kapelusz. Na to potrzebna jest jeszcze długoletnia praktyka pod fachowym kierunkiem, a nade wszystko—wrodzona zdolność. Prowadząc od kilku lat w szeregu pism dział mody, jestem w stałym kontakcie z większością wielkich firm warszawskich i miałam niejednokrotnie okazję przekonania się, że na setki dziewcząt, przechodzących kurs kroju, lub kapelusznictwa, zaledwie parę posiada owe „złote ręce”—niezawodność kroju, lekkość i precyzję wykonania, opłacane na wagę złota przez zachwyconą klientelę. Bielizniarstwo, krawiecczyzna i kapelusznictwo,—są to fuchy bynajmniej nie łatwe, wymagające solidnego przygotowania, szczerego zamiłowania i specjalnego powołania, czyli talentu.

Większość amatorskich prób obycia się bez pomocy fachowej kończy się zmarnowaniem „krepdeszynu, filetów, kwiatków, ażurów i ozdóbek“, które przecież kosztowały, i to nie tanio.

Suknia, uszyta domowym sposobem, „pije“ pod pachami i marszczy się na biodrach; kapelusz, fasonowany własnoręcznie, dziwnie przypomina gniazdo wronie i przekrzywia się coraz to na inną stronę.

Tu czuję, że każda z czytelniczek pragnie na znak protestu rzucić mi imię jakiejś swojej dobrej znajomej lub kuzynki, jakiejś pani Ziuty, która sama sobie szyje pajęczą bieliznę; Maryni, co to robi kostjummy, jak najlepszy krawiec; Lali, co haftuje, jak pierwszorzędna hafciarka, itd. itd... Ale ja się tem nie dam przekonać i jeszcze dorzucę, że sama znałam bardzo elegancką damę, która w czasie wojny robiła sobie i swoim buciki, ale to jeszcze nie dowód, żeby każda z nas mogła i musiała obywać się bez szewca. A zresztą, owszem: te panie, które nie mają innych zajęć, prócz dozoru domu i opieki nad dzieckiem, mogą sobie w chwilach wolnych robić eksperymenty krawieckie i modniarskie. Może się zdarzyć, że odkryją w sobie ukryte talenty, mogące się nawet stać źródłem poważnych dochodów. Należy tylko od czasu do czasu sprawdzać rachunki, aby się przekonać, czy koszta materiałów, zmarnowanych, podczas nieudanych prób, nie wynoszą więcej, niż robota sukni i kapelusza w dobrym magazynie. Ale to tylko panie, nie pracujące zawodowo. Natomiast zupełnie nie rozumiem, jak można od biuralistki, zgiętej od 9-ej do

4 ej przy biurku, ekspedjentki, schodzącej z posterunku po 7-ej, kobiety-lekarka, dentystki, adwokatki, jednej z legjona kobiet, pracujących na życie, obarczonych w większości wypadków wychowaniem dzieci i gospodarstwem domowym,—mymagać, aby jeszcze była swoim własnym krawcem, modystką, praczką i bielizniarką! Nie wynika stąd bynajmniej, aby kobieta pracująca, skoro nie potrafi, lub nie ma czasu na to, aby sama sobie wszystko uszyć, miała zaraz albo wydawać cały zarobek na stroje, albo wyglądać, jak czupiradło. Mam wrażenie, że najskuteczniejszym rozwiązaniem węzła gordyjskiego jest, jak zawsze, przecięcie go—heroiczna, a przecież nieunikniona decyzja: każda kobieta średniozamożna powinna sobie raz na zawsze powiedzieć, że, mimo najrozpaczliwszych wysiłków, nigdy nie będzie ani królową mody, ani niebezpieczną konkurentką wampirów ekranu.

Sposób ubierania się kobiety pracującej powinien iść po linii spokojnej elegancji. Dobry materiał i nieskazitelny krój mają magiczną własność zachowywania świeżego, wykwintnego wyglądu przez długie lata. Kolory: biały w lecie, czarny i granatowy w zimie — nigdy nie wychodzą z mody. Każdy sprawunek kobiety pracującej powinien być przemyślany i celowy. Przed nabyciem najmniejszego drobiazgu należy się zastanowić, czy się nam naprawdę przyda, a przedewszystkiem, czy pasuje do rzeczy, już przez nas posiadanych. Tylko drogą doskonałej harmonii wszystkich szczegółów ubrania osiąga swą przysłowiową elegancję niezamożna paryżanka.

Lepiej jest przez cały rok nosić jedną, dobrze zrobioną suknię, dobraną do okrycia, kapelusza i obuwia, niż mieć pół tuzina sukienek, z których każda będzie się kłóciła z innymi częściami ubrania. Raz, względnie dwa razy do roku, jesienią i na wiosnę, powinno się ustalać budżet toaletowy, biorąc pod uwagę wszystkie możliwe ewentualności życiowe i towarzyskie. Nie trzeba, aby konieczność wzięcia udziału w jakiejś uroczystości rodzinnej, lub zabawie reprezentacyjnej, zastawała nas nieprzygotowane i bezbronne. Nieprzewidziana w budżecie suknia wieczorowa, robiona na gwałt i bez zastanowienia, musi wypaść i drożej i gorzej. System rat, zabójczy dla osób o dużym apetycie a słabym charakterze, okazuje się zbawiennym dla tych, co umieją zgóry zestawić swoje dochody i potrzeby i drogą miesięcznych spłat dochodzą do solidnego futra, doskonale skrojonego krawieckiego kostjumu i tym podobnych, mogących służyć przez szereg sezonów, artykułów garderoby, na których jednorazowe pokrycie całomiesięczny zarobek okazałby się niewystarczającym.

Mam wrażenie, że system sprawiania sobie tylko rzeczy niezbędnych, zato w najlepszym gatunku, dałby o wiele szczęśliwsze rezultaty pod względem zarówno praktycznym, jak i estetycznym, niż ustawiczne gromadzenie modnej tandety i amatorskie naśladownictwa cudzego zbytku.

Well.



Już teraz należy pomyśleć o tem, aby w każdym domu, a także we wszystkich szkołach, przedszkolach, ochronkach i na wszelkiego rodzaju kursach znalazł się przepiękny album p. t.

Wzory te są ostatnim wyrazem polskiego zdobnictwa zarówno pod względem kolorystyki, jak rysunku. Dokładność opracowania technicznego i cały szereg wskazówek metodycznych sprawiają, że dzieci w wieku przedszkolnym i szkolnym z ła-



twością wykonają wszystkie podane w albumie modele, zużywając najprostsze materiały, jak skorupki od jajek i orzechów, kolorowy papier, jedwab, włóczkę itp.

**Cena 7 Zł.**

**Dla prenumeratorek, które otrzymują tygodnik bezpośrednio w Administracji „BLUSZCZU“, cena zniżona do 5 złotych.**

Zamawiać można w Towarzystwie Wydawniczym „BLUSZCZ“ — Warszawa, Krak. - Przedmieście 99.

## Czytelniczkom naszym komunikujemy, że w listopadzie r. b. ukaże się „Kalendarz Dziecka i Matki“

o następującej treści:

- I.
1. Wstęp od Wydawnictwa.
2. Kalendarz na rok 1929.
3. „ „ „ 1930.
4. O zdrowie przyszłych pokoleń.
5. Higiena kobiety.

### II. CIĄŻA

1. Teoretyczne przygotowanie do zadań macierzyństwa.
2. Biblijografia.
3. Higiena ciąży.
4. Poród w domu i w klinice.
5. Adresy klinik ginekologicznych w Polsce (państwowych i samorządowych).
6. Higiena okresu poporodowego.

### III. NIEMOWLĘCTWO

1. Wyniki prawidłowej pielęgnacji.
2. Wyprawka.
3. Pokój niemowlęcia.
4. Karmienie piersią.
5. Dokarmianie, karmienie sztuczne (2 tablice orientacyjne).
6. Dieta i tryb życia matki karmiącej.
7. **Wychowanie fizyczne:**
  - a) kąpiel i inne zabiegi pielęgniarские;
  - b) spacer;
  - c) gimnastyka;
  - d) zabawa i zabawki;
  - e) sen.
8. Kontrola rozwoju niemowlęcia (tablice z rubrykami do odnotowania danych).
9. Wychowanie niemowlęcia.

### IV. OPIEKA SPOŁECZNA NAD MATKĄ I DZIECKIEM.

1. Znaczenie społecznej opieki nad matką i dzieckiem.
2. Adresy Stacyj opieki nad matką i dzieckiem oraz poradnie.

3. Ośrodki zdrowia.
4. Poradnie przeciwgruźlicze.

### V. PIERWSZY OKRES DZIECIĘCTWA (DO LAT 4-CH).

1. Rozkład dnia dziecka.
2. Kilka uwag o karmieniu dziecka po odstawieniu od piersi.
3. **Wychowanie fizyczne:**
  - a) mycie;
  - b) kąpiel;
  - c) gimnastyka;
  - d) spacer;
4. Wiek, wzrost i waga dziecka do lat 7-iu (1 tablica orientacyjna).
5. Ubranie.
6. Pokój.
7. Zabawy i zabawki.
8. Postulaty wychowawcze.

### VI. DZIECKO W WIEKU PRZEDSZKOLNYM (DO LAT 7-miu).

1. Rozkład dnia dziecka od lat 4 — 7.
2. **Wychowanie fizyczne:**
  - a) mycie i kąpiel;
  - b) gimnastyka;
  - c) gry i zabawy ruchowe;
  - d) sporty dziecięce.
3. Ubranie.
4. Pokój.
5. Zabawy i zabawki.
6. Postulaty wychowawcze.
7. Wychowanie przedszkolne:
  - a) przedszkole,
  - b) ogrody jordanowskie.
8. Biblioteczka dziecka (beletrystyka).
9. Biblioteczka matki (książki z zakresu higieny i wychowania).

### VII. PORADNIK HIGIENICZNO - PIELĘGNIARSKI

1. Najczęstsze braki i błędy w opiece matki nad zdrowiem dziecka.
2. Pierwsza pomoc w nagłych wypadkach.
3. Technika najważniejszych zabiegów ratowniczych.
4. Jak się ustrzec przed chorobami zakaźnymi.
5. Choroby zakaźne.
6. Postępowanie w wypadkach chorób zakaźnych.
7. Podstawowe zasady pielęgniarstwa.
8. Apteczka domowa.
9. Szpitale i kliniki dziecięce (państwowe i samorządowe).

### VIII. INFORMACJE PRAKTYCZNE DLA MATEK Z DZIEDZINY NAJNOWSZYCH ULEPSZEŃ W GOSPODARSTWIE DOMOWYM.

1. Nasza sytuacja gospodarcza.
2. Wydawnictwa i instytucje pomocnicze.
3. **Najnowsze wynalazki gospodarcze**
  - a) gotowanie;
  - b) pranie;
  - c) szycie dla dziecka;
  - d) sprzątanie;
  - e) pielęgnowanie rąk kobiety, zajętej przy gospodarstwie.
4. Rozkład zajęć matki.

### IX. UDZIAŁ MATEK W PRACACH SPOŁECZNYCH.

1. Organizacje kobiece w Polsce.
2. Stowarzyszenia, obejmujące w swym programie wychowanie fizyczne.
3. Konieczna rubryka w budżecie domowym.

**Cena kalendarza wynosić będzie 3 zł. 50 gr.**

**Stałe prenumeratorki „BLUSZCZU“, opłacające prenumeratę wprost w naszej Administracji, otrzymają kalendarz w cenie 2 zł.—o ile sumę tę prześlą do Admin. przed 8 listopada r. b.**

Adres Administracji: Krak. Przedm. 99

Konto P.K.O. Warszawa 12.900



## DROBNE UŁATWIENIA W GOSPODARSTWIE DOMOWYM

Konserwatyzm jest rzeczą niezaprzeczenie nader cenną, kiedy chodzi o przechowanie tradycji narodowych, czystości obyczajów i tym podobnych poważnych rzeczy; można z nim się godzić na punkcie obchodów pewnych świąt i rocznic; nawet w kwestji pewnych, starannie z pokolenia na pokolenie przelewanych sekretów gospodarskich; ale upierania się przy używaniu naczyń i przyrządów przedpotopowych dlatego tylko, że w takich gotowały i smażyły nasze matki i babki—nie można nazwać konserwatyzmem: jest to zwykły upór i zacofanie.

Najwięcej uporu pod tym względem wykazują służące, szczególnie te, tak nazwane, „zdolne“, które ani na jotę nie chcą odstąpić od raz nabytych, niekiedy zupełnie fałszywych wiadomości.

Jesteśmy strasznie zacofani pod względem ułatwień gospodarskich i wprost boimy się jakiegoś postępu! Kiedy, na przykład, Ameryka—już nie mówiąc o wielkich maszynach i kosztownych sprzętach gospodarskich—ma tysiące drobnych przyrządów, łatwych do użycia, bajecznie tanich — bo 5 lub 10 centów (cena takiego przyrządu) stanowi kilkadziesiąt groszy — w naszych sklepach gospodarskich panuje wszechwładnie niemiecka tandeta. Mimo kilkakrotnych odezwo w prasie, dotąd żaden specjalista nie opracował praktycznego typu suszarki do naczyń zmywanych; w sklepach wprowadzić zjawiła się drucziana podstawka na dwanaście talerzy; ale właśnie model tej suszarki, jako wcale nierozstrzygujący kwestji osuszenia naczyń bez ścierki, był odrzucony przez Koło studjów gospodarstwa domowego.

Ciągle pieczemy ciasta w ciężkich formach glinianych, w których nie możemy śledzić za stopniem zrumienienia tego ciasta, i stale wyjmujemy je z pieca blade lub zwęglone; gdy w Ameryce ciasto i leguminy piecze się w formach ze... szkła—tak, szkła, o tyle zahartowanego, że może iść w największy ogień, jest lekkie, czyste i ma tę zaletę, że możemy w każdej chwili zobaczyć, czy ciasto dosyć się zrumieniło. Szkło ogniotrwałe jest u nas znane tylko w formie bardzo kosztownych i wcale niepraktycznych kubków, czy rondelków do gotowania wody i mleka, które w rękach naszych służących nawet tygodnia nie trwają. To szkło amerykańskie, grube i mocne, jest mocniejsze i trwalsze od naszych form glinianych i należałoby je koniecznie wprowadzić w użycie. Jeżeli sprowadzamy z Ameryki masowo mąkę, eksportując własną pszenicę, czemu byśmy nie mogli sprowadzić naczyń szklanych, lub—co lepiej—nauczyć się wyrabiać je w kraju?

Z narzędzi kuchennych od lat wielu przyjęły się i rozpowszechniły, nawet w chatkach wiejskich, maszyn-

ki do siekania mięsa; natomiast prawie niema w użyciu zapasowych tarcz do nich, dających mleć kawę i migdały, krajać w paski włoszczyznę i kapustę itp. Takie przyrządy są już w wielu sklepach, ale nikt ich nie kupuje; — w Ameryce bez nich nie obchodzi się żadna gospodyni. Z drobnych przyrządów bardzo łatwo się rozpowszechniły maszynki do wyciskania cytryn, znane zresztą przed wojną jeszcze, i do krajania jaj w plasterki; natomiast maszynki do mięszenia ciasta, używane nawet w Rosji przedwojennej, są w Warszawie dotąd rzadkością, a na prowincji wcale nie są znane.

Wszyscy wiemy, jakiej wprawnej ręki i oka trzeba, aby dobrze zrobić jajka poszetowe, o twardem białku i miękkim żółtku; nawet kiedy je rozbijamy tuż nad wodą, mogą one bardzo łatwo się rozpląnąć i zawsze mają po ugotowaniu jakieś nici, czy wąsy, które usuwać trzeba:—Ameryka ma śliczny aluminiowy rondel podwójny, który gotuje te jajka na parze — przesłicznie się udają.

Kiedy chodzi o sprzątanie—my tu używamy szczotek z włosia lub trawy morskiej; zanieczyszczają się one łatwo i kurzą przy zamiataniu; amerykanki—nie każda z nich posiada odkurzacz elektryczny—w tym celu używają szczotek z długich knotów bawełnianych, które łatwo zastąpić nowymi na tym samym kij; po- zatem dają się one doskonale uprać wodą z mydłem, a po wysuszeniu, są jak nowe. Aby nie robiły kurzu, a przeciwnie, pochłaniały go, skrapia się je specjalnym olejem, który u nas dałby się zastąpić zwykłą terpentyną. Takie same mniejsze szczotki zbierają kurz ze stołów, etażerek i fortepianów, ze sztychów, obrazów i ścian nawet. Z takich samych knotów bawełnianych są zmywaki do naczyń: większe—do talerzy i półmisków, mniejsze—do szklanek, filiżanek i kieliszków. Takich grubych knotów bawełnianych można nabyć chyba i u nas dostać i samej sobie porobić takie przyrządy, dobrze oczyszczające, a łatwe do utrzymania w czystości. Można z nich zrobić coś w rodzaju frendzli dowolnej długości, odpowiedniej do użytku, do jakiego taką szczotkę przeznaczamy. Frendzla ta powinna być zrobiona na mocnym, dającym się ściągnąć sznurku, poczem przywiązujemy ją mocno do rączki, lub do kija, zaopatrzonego na parę centymetrów od końca w żłobek, aby miotełka w użyciu nie spadała, i mamy całe narzędzie gotowe. Ażeby nie zniszczyć przy tem sprzątaniu ślicznie wymanucowanych rączek, amerykanka wkłada rękawiczki: nie stare skórkowe, które się boją wody, ani fil-d'écosse'owe, które kurz i brud przepuszczają, ani gumowe, bardzo kosztowne i łatwo pękające—lecz z jakiejś bardzo gęstej tkaniny bawełnianej, nieprzepuszczającej wody, ani kurzu, zakończone trykotowym grubym mankietem, trzymającym mocno taką rękawiczkę na ręce. Para takich rękawiczek kosztuje dziesięć centów (80 groszy).

Pani Elżbieta.



## GRUSZKI

Ogromny tegoroczny urodzaj gruszek, a co zatem idzie ich taniość w stosunku do innych owoców, skłania mię do podania tutaj kilku mniej znanych sposobów ich użytkowania.

## GRUSZKI NA JARZYŃĘ

Gruszki mniej cennych gatunków, twardszych, niezdatnych do jedzenia na surowo, obrać cienko z łupinek; jeśli bardzo duże, przekrajać na połówki, średnie i mniejsze pozostawić w całości. Obgotować w wodzie, nie soląc jej, ani cukrząc. Tak zblanżerowane, lecz twarde jeszcze gruszki włożyć do sosu przy duszącej się pieczeni wołowej lub wieprzowej i dusić wraz z mięsem, aż zupełnie zmiękną. W taki sposób przyrządzone stanowią smaczną jarzynę. Chcąc je podać, jako garnitur pomiędzy innymi jarzynami, nie wkładać ich do garnka z mięsem, tylko po zblanżerowaniu podłożyć pod nie kawałek masła, posypać małą łyżeczką cukru i dusić bardzo wolno, podlewając rosółem, lub paru łyżkami sosu z mięsa, aż zupełnie zmiękną i nabiorą lekko złocistego koloru.

## GRUSZKI SMAŻONE W MIODZIE

Duże gruszki twardego gatunku obrać z łupin, zagotować raz w wodzie, odcedzić na sito. W wodzie, w której się gotowały gruszki, rozgotować zupełnie łupinki z tych gruszek, wpierw starannie umyte, przedzić płyn przez gęste sito. Na każde kilo gruszek brać pół kilo cukru i pół kilo miodu. Miód można użyć na ten cel gorszy, otrzymany przy wytapianiu wosku; należy tylko scedzić go ostrożnie, aby nie było w nim pszczelego chleba. Syrop zagotować, wrzucić weń gruszki, dodać kawałek cynamonu i kilka goździków, lub też pół strączka wanilji. Smażyć na wolnym ogniu, aż gruszki się staną prawie przezroczyste i nabiorą ładnego, ciemno złocistego koloru, a syrop zgęstnieje i stanie się jasno brunatny. Przełać konfiturę do salaterki i dać zastygnąć. Następnego dnia gruszki po jednej przełożyć do słoja, syrop ponownie zagotować, na każde dwa kilo konserwy włożyć utartą na proszek pastylkę benzoesu, nie gotując z nią już więcej syropu. Ostudzonym syropem zalać gruszki w słoju. Słój obwiązać pergaminem.

## GRUSZKI NA LEGUMINĘ

Duże, twarde gruszki obrać ze skórki, przekrajać na połówki, ugotować, jak na kompot, w syropie z wanilją. Syropu powinno być niedużo, lecz musi on być słodki i gęsty. W nelsonce, lub głębokim, metalowym półmisku, ułożyć gruszki, pomiędzy

nie kłaść po kawałeczku młodego masła, którem też grubo należy wysmarować półmisek. Połać gruszki syropem z nich i obficie gęstą, kwaśną śmietaną. Wstawić na półgodziny w średnio gorący piec, aby się śmietana dobrze powierzchu zrumieniła i uformowała jakby cienką skórkę. Podawać gorące w tem samym naczyniu, w którym się piekły.

Pani Elżbieta.

## KORESPONDENCJE

Panu L. Cz. w Szczaworyżu. Farb do prania dostanie Szan. Pan w firmie J. Buraf, — Warszawa, Nowy Świat 47.

Pani S. L. — Maków. Woreczki haftowane na kanwie ścięciem krzyżkowym i gobelinowym bardzo są modne. Robi się je w formie składanych pularsików. Wzory ich często podajemy w naszych pismach. W kwestji łupieżu we włosach niech Sz. Pani napisze do naszej Redakcji pod adresem dr. J. Świtalskiej, — dział kosmetyczny, — a otrzyma Pani odpowiedź w bezpłatnym dodatku do „Bluszczu”, pod tytułem „Kultura Ciała”, wychodzącym w pierwszej połowie każdego miesiąca.

Paniom Urzędniczkom Banku Polskiego w Poznaniu. Stosując się do łaskawego życzenia, podamy naukę haftu „Toledo” w jednym z najbliższych numerów „Bluszczu”.

Pani R. — Warszawa. Państwowa Szkoła Gospodarstwa Domowego jest przy ul. Górnośląskiej Nr. 29; nie wiem jednak, czy o taką Pani chodzi, bo tam kurs jest dwuletni i zaczynają się wykłady od roku szkolnego. Może praktyczniej byłoby zapisać się na kursa gotowania do pani Norkowskiej (Bracka Nr. 17), a na roboty do p. Onichimowskiej (Krucza Nr. 19). U p. Norkowskiej w trzy miesiące nauczy się Sz. Pani doskonale wszystkiego, co w zakresie kulinarnym pragnie umieć, a haft i szycie też dłużej trwać nie będą.

Pani J. G. — Pustelnik. Fason z karczkiem zawsze skraca figurę. — Na codzienny dancینگ popołudniowy wystarcza zupełnie suknia, o której Sz. Pani pisze — wieczorny wymaga strojniesz tualety. Czarny kolor jest obecnie tak modny, że stosują go do wszelkich tualet, od najskromniejszych do balowych włącznie. Materiał jedwabny najmłodniejszy — to rodzaj atlasu crêpe-satin (double face), który używa się, robiąc suknię na obydwie strony, to jest na lśniąca i na matową — co od razu stanowi przybranie i wygląda bardzo elegancko. — Aksamity również bardzo są noszone. — Godny polecenia jest Zakład kosmetyczny Dr. J. Świtalskiej (Krucza 31 m. 3), czynny od godz. 10 rano. Świeżo wydana książka Dr. Świtalskiej: „Mój system” — uczy pogłęboko wszelkich upiększających masaży; opatrzona licznymi rysunkami, może być bardzo pomocną przy nauce różnych zabiegów, wykonywanych osobiście.

Adres dentystki: Żórawia 16, A. Krzywicka — proszę powołać się na naszą Redakcję.

Najodpowiedniejszy materiał na płaszcz do tak wszechstronnego użytku będzie „burberry” impregnowany, w kolorze szaro-zielonkawym. O ile Pani chce donosić na wsi pozostałą z lata białą suknię, to naturalnie można — dla Warszawy jednak nie nadaje się pod okrycie zimowe. — Lepiej zostawić ją na przyszłe lato, albo ufarbować na czarno. Doskonałą farbiarnię mamy w Poznaniu, gdzie robotę wykonywują prędko, tanio, sumiennie, i nawet na czarno farbowane materiały i palta nie smolą. Koszta przesyłki pocztowej są bagatelne — odesłać po ufarbowaniu za zaliczeniem pocztowem.

Adres farbiarni: „Barwa” — Poznań, Plac Wolności Nr. 6, właściciel St. Kałamański. — O ile Sz. Pani chciałaby tam przesłać rzeczy do farby, proszę powołać się na naszą Redakcję.

## WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17.40, gr., rocznie — 69.60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7.20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Cena numeru w sprzedaży 1 zł. 60 gr.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Krak.-Przedm. 99. Konto P.K.O. — Warszawa 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”. Sp. z ogr. odp.  
Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelną) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW  
Redakcja i Administracja: Warszawa, Krak. Przedm. 99, tel. 239-40.  
Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Rymarska 8, tel. 244-18.